



GNIAZDO
PRUSKIE

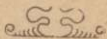
Paweł D'Estrée.

Gniazdo 
 pruskie.

Spolszczył

Henryk Michałowski.

Część I-sza



WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA.”

1904.

Wm

Nr Inwent.

~~159326~~ 250802



94

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава 5 Июля 1904.

940 : 929(430) 10/17

Abc 2 127 43 2
P/P631/86/62

Druk A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat Nr 47.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-025080

I.

Margrabiowie brandeburscy.

Nad brzegami Sprewy, prawie na-
przeciwko galeryi narodowej, wznosi
się w pośrodku parku starego zamek
Monbijou, zbudowany w r. 1708 dla
hrabiny Wartemberg, która ofiarowa-
ła go królowej Zofii — Dorocie, żonie
Fryderyka Wilhelma I-go.

W ciągu lat wielu rezydencyę tę za-
mieszkiwali rozmaici książęta domu
pruskiego, później sprzedano ją na-
bywcy prywatnemu, następnie odku-
piono ją znowu dla korony, aż naresz-
cie Wilhelm I-y, czyniąc zadość ży-
czeniu syna swego, postanowił zgro-
madzić tu wszelkie przedmioty, które
niegdyś należały do członków rodziny
lub były wspomnieniem ich przeszło-

ści, zaczawszy od pierwszego margrabi brandeburskiego z domu Hohenzollernów aż do ostatniego potomka tej gałęzi, t. j. do panującego dziś Wilhelma II-go.

W r. 1886 otwarto owo nowe muzeum monarsze.

Zwiedzający je spotyka tu na każdym kroku ślady monarchy, któremu udało się ozdobić przed śmiercią czoło swe koroną cesarską i spełnić zadanie, będące całym celem jego życia.

Szczególnem staraniem otoczył muzeum książę Fryderyk, ówczesny następca tronu; cały czas wolny poświęcał rozwojowi tej galeryi rodzinnej, urządził ją sam, porządkował, a nawet własną ręką skreślił wszystkie napisy objaśniające, przytwierdzone do przedmiotów zbiory te składających.

Praca to była nielada, o ile bowiem łatwo było zgromadzić z zamku i pałaców wielką liczbę pamiątek, odnoszących się do ostatnich monarchów pruskich od Fryderyka Wielkiego, a nawet od ojca jego Fryderyka Wilhelma I-go, o tyle trudno było znaleźć coś po ich poprzednikach.

Poszukiwania staranne po całym kraju wydały jaki taki rezultat; przetrząsnęto składy ze starożytnościami, piwnice dawnych zamków, muzea prowincjonalne, i to, co w nich znalezione, wraz z darami prywatnemi, utworzyło, jeżeli nie całość historyczną, to w każdym razie charakterystykę dotykalaną niektórych epok państwa pruskiego.

Każda sala tworzy tam niejako kartę historyi, z której więcej nauczyć się można, aniżeli ze wszystkich dzieł, jakie w tym przedmiocie w ostatnich dwóch wiekach się ukazały.

Wypadki niewytłomaczone otoczone głęboką nieraz tajemnicą, znajdują tam wyjaśnienie.

Przedmioty, należące do użytku codziennego dawnych panów brandeburskich i pruskich, wykazują przymioty ich lub wady, dziedziczne lub osobiste.

Z tego też powodu zwiedzenie muzeum w Monbijou jest niejako ostatniem dopełnieniem wiadomości historycznych o Niemczech dzisiejszych.

Wycieczka to interesująca; odbędziemy ją bez zmęczenia, a przedmioty

napotykanie niechaj opowiadają o wypadkach.

* * *

W sali margrabiów mało znajduje się okazów, mających prawdziwą wartość historyczną. Po ścianach wiszą portrety dawnych elektorów oraz ich małżonek. Modelowano je najpierw w wosku, następnie odtapiano ze złota. Są to medaliony, po największej części formy owalnej, emaliowane zazwyczaj kolorowo i osadzone w ramach wysadzanych drogiemi kamieniami.

Najdawniejszy z nich przedstawia burgrabię Norymbergii, Fryderyka Hohenzollern, któremu cesarz Zygmunt spłacił dług lichwiarski elektoratem brandeburskim, wakującym po śmierci Jobsta morawskiego.

Inwestyturę nowej swej godności otrzymał burgrabia na soborze konstancyeńskim 14-go kwietnia roku 1415.

Pierwszy elektor z rodziny Hohenzollernów wyjechał natychmiast do Berlina, dokąd wszedł przybrany w płaszcz purpurowy, gronostajami podbity, w czapkę z toczkiem; w ręce miecz trzymał goły.

W orszaku jego pomiędzy mnóstwem jeźdźców zauważyć się daje działa — już! — jakie elektor nabył od landgrafa turyńskiego; pociski z działa tego w postaci kul kamiennych, miały, jak mówiono, obracać w pył mury fortec najsilniejszych.

Działo to nie stało bezużytecznie, zaledwie bowiem Fryderyk zainstalował się w zamku swoim nad Sprewą, a już musiał się bronić przeciwko szlachcie krajowej, która zebrała się pod sztandarem rodziny Quitzow, ze Starej Marchii, z zamiarem wypędzenia narzuconego pana i nieproszonego intruza.

Walka była krwawa i długa; zwycięstwo po stronie elektora i jego działa.

Fryderyk I narzucił ciężkie jarzmo na karki szlachty brandeburskiej; syn jego Fryderyk II-go „żelaznozęby“ prowadził dalej to dzieło i wkrótce ujarzmił kraj cały i miasta do owego czasu wolne. Później panował spokojnie, utrzymując porządek za pomocą egzekucyj dokonywanych w wieży „pod zielonym kapeluszem,“ istniejącej dotychczas w starym zamku elektorów brandeburskich.

W wieży tej znajdowała się słynna „Madonna“ to jest postać rzeźbiona Najświętszej Panny, z oczyma nad wyraz słodkimi, z ramionami wyciągniętymi niby do błogosławieństwa.

Gdy ówczesny sąd elektoralny, zwany „polem marcowem,“ czynny bezustannie w Berlinie, uwolnił kogokolwiek z oskarżonych „dla braku dowodów,“ wówczas uniewinnionego zatrzymywano w przedsiönku, prowadzono do wieży i postawiwszy przed Madonną, mówiono:

— Podziękuj Najświętszej Pannie i uściśnij ją, ona to bowiem cię ocaliła! Ocalony rzucał się pełen wdzięczności i miłości w objęcia „Madonny.“

W tej chwili jednak zaczynał funkcjonować mechanizm ukryty we wnętrzu posągu; ramiona obejmowały nie szczęśliwego, jakby kleszczami, a kilkadziesiąt sztyletów ostrych, jak igły przebijały ciało ofiary, padającej trupem na miejscu.

Za chwilę otwierała się podłoga i zwłoki znikwały w przepaści bezdennej łączącej się z rzeką.

Posąg „Madonny“ nie znajduje się w Monbijou. Należy on do „galeryi

tortur“ w Norymberdze, kolebce rodziny Hohenzollernów.

Po ujarzmieniu mieszczan wzięto się do włóścian!.. Dla tych ostatnich koło i szubienica były gotowe.

Zawojowaniem i ujarzmieniem włóści i folwarków zajął się brat Fryderyka II-go i jego następcą Albert, noszący przydomek Achillesa. Udało mu się lecz z trudnością. Potoki krwi płynęły przez lat kilka.

Na domiar złego nie mieszkał on w kraju lecz zdaleka rządził Marchią; mieszkańcami kraju tego pogardzał, uważając ich tylko za źródło, z którego bezustannie czerpać można pieniądze.

Życie całe spędził częścią we Frankonii, częścią zaś we wszystkich krajach ówczesnego cesarstwa. Nie było kąta w Niemczech, jak pisze jeden z historyków, gdzieby nie zajrzał ten prawdziwy typ żołdaka-lupieżcy, sięjąc wszędzie postrach ogniem i mieczem.

W życiu domowym margrabia Albert Achilles niemniej był strasznym. Podczas jednej z licznych swych wycieczek napisał do żony swej list, iż natychmiast po powrocie „wypieprzy

różgą“ i ją i syna swego Alberta, i córki swoje.

W owych już czasach różga była godłem powagi i władzy rodzicielskiej. Tradycja ta przechowała się w Prusach z całą pobożnością do dnia dzisiejszego. Niedawno temu opisywano pieczęć szkoły gminnej tuż pod Berlinem; na pieczęci tej wyróżniona była postać nauczyciela, potrzęsającego różgą nad kłęczącym przed nim uczniem.

Albert Achilles raz jeden tylko przybył do Berlina na uroczystość konsekracji swojej w r. 1471. Wówczas wjazd jego nie był wcale obliczony na pozyskanie sympatyj swych poddanych.

Otoczył się samymi frankończykami; rozdał im wszystkie podarunki, jakie mu magistrat berliński ofiarował.

Urządzono na cześć jego festyn uroczysty; przyjął go i udał się nań w otoczeniu całej swej świty, lecz na salę nie pozwolił wpuścić nikogo. Cała szlachta i zarząd miejski musieli wystawać na podwórzu wśród zimna i deszczu.

Po kilku dniach pobytu zażądał, aby mu natychmiast złożono 100,000 florenów. Chcąc zaś zapewnić sobie

stały dochód, nałożył olbrzymi podatek na artykuły spożywcze.

Na szczęście dla mieszkańców Brandeburgii Albert nie długo popasał w Berlinie. Wyjechał — ale i zdala uciskał swych poddanych.

Syn jego Jan, zamianowany „Statthalterem“ Marchii, żył jak najoszczędniej, obchodził się bez rzeczy najpotrzebniejszych, byle tylko zadowolnić żądania ojca swego. Uprzedzony przez ojca o układach matrymonialnych z księżniczką saską, pisał w tonie melancholicznym:

— „...Wasza książęca wysokość nie wie może, iż ja nie posiadam ani kawałka bielizny, zarówno nocnej jak stołowej. I sreber nie mam także. Wasza książęca wysokość zabrałaś wszystko co tu było. Ja obchodzę się jednym jedynym tuzinem łyżek srebrnych, jakie kazałem sobie zrobić po odjeździe waszej książęcej wysokości. Na zaręczyny przybyłoby masę ludzi i koni, a z kąd wziąć dla nich owsa?.. To ziarno strasznie teraz jest drogie. Wasza wysokość wie, że ja nie mam ani liarda i nie mam za co kupić.“

Pomimo tej skargi małżeństwo uło-

żone przez margrabię, doszło do skutku w r. 1476.

W dziesięć lat później Albert Achilles umarł, zostawiając ciężar rządu synowi swojemu.

Elektor Jan ożywiony był najlepszymi chęciami. Chcąc jednak jako tako wypełnić kufry wypróżnione przez ojca swego, musiał uciec się do podatku. Długo szukał i myślał, coby obłożyć podatkiem, aż nareszcie zrobił co mógł najgorszego: opodatkował piwo. Zażądał wprawdzie drobnostki bo 12 liardów od beczki, lecz i to wywołało w kraju całym wrzawę i niezadowolenie.

Oto jakie skutki wywołała ta drobnostka: kilka miast zbuntowało się i odmówiło zapłaty; za przykładem miast poszły wsie i osady. Wnet zaczął się ucisk krwawy, o jakim trudno mieć pojęcie; bandy żołdactwa przebiegały od jednego krańca Marchii do drugiego i wymierzały kary, którychby pozazdrościć mogły sądy inkwizytorskie w Hiszpanii, sławne z okrucieństw.

Elektor Jan był tak tłustym, iż nie mógł się poruszać; powiadają, iż rozcięto mu brzuch i wyskrobano zeń trochę tłustości, zdaje się jednak, iż tra-

dycya ta wybijała tylko w wyobraźni mieszczan.

Umarł w r. 1499, przeklinany przez lud, dla którego zawsze jak najlepiej był usposobiony.

Całe życie jego upływało na bezustannej walce z własnymi ideami. Przekazał je synowi swemu w testamencie.

Oto zdania, skreślone jego ręką; jeśli je czytał który z jego następców, z pewnością uśmiechnąć się musiał ironicznie: „Awantury wojownicze to głupia rzecz; nie mają żadnej wartości. Gdy się nie jest zmuszonym do wydobywania miecza w obronie swej ojczyzny, lub w celu odwrócenia klęsk groźących, lepiej niech w pochwie spoczywa.”

„Synu mój! bądź dobrym dla pokornych i uciśnionych; najlepiej w ten sposób tron swój zabezpieczysz. A szlachtę trzymaj na wodzy, bo duma jej i pycha wielu jest nieszczęść przyczyną. Pochlebców karz surowo, bo mową swoją oni chcą ci się przypodobać a dobro kraju nie ich nie obchodzi.”

W końcu testamentu elektor Jan radzi synowi swojemu, aby założył u-

niwersytet gdzieby „młodzież mogła kształcić się w sztukach i dobrych obyczajach.“

* * *

Joachim I-y miał zaledwie lat 15, gdy objął spadek po swym ojcu. Prowadzenie jego zaczęło się wśród wróżb niewesołych. Pożar zniszczył znaczną część stolicy, a potem wybuchła zaraza i zabrała połowę mieszkańców.

Dziwna owa choroba zapowiadała się deszczem krzyżyków czerwonych, które padając na bieliznę lub ubranie, niby krwią je plamiły. Kto w podobny sposób został naznaczony, ten stanowczo padł ofiarą zarazy.

Jeden z uczonych niemieckich dowodził w późniejszych czasach iż były to muszki z rodzaju *ocneria dispar*, które za najmniejszym pociśnieniem ciecz wydają czerwona. W owych jednak czasach wierzone w ten znak straszny, poprzedzający epidemię.

Zaraza we Florencyi, która dała powód poecie Boccaccio do napisania Decameronu, jakkolwiek przerażająca liczbą ofiar, nie była jednak tak straszna, jak zaraza brandeburska.

Do tych dwóch nieszczęść dodajmy trzecie, a mianowicie szlachtę udziałną, która przypomniawszy sobie niezbyt dawno ubiegłe czasy, rozpoczęła na nowo napadać na siebie wzajemnie, niszczyć wsie i zamki, rabować i mordować podróżnych, a wyobrazimy sobie przyjemne czasy za elektora Joachima.

Rozboje były na porządku dziennym; pozostała nawet piosnka jako wspomnienie owej epoki:

*Morden und stehlen ist keine Schande
Es thun ja die Besten im Lande.*

Mordować i kraść nie jest hańbą, robią to najlepsi w kraju.

Obecny monarcha Niemiec w mowie swej odezwał się raz, mając na myśli szlachtę niemiecką, o „najlepszych w kraju“ jako o podporze tronu. Dla znających dawne dzieje, niezbyt szczęśliwe było to porównanie.

Inny jeszcze wypadek nasuwa na myśl porównanie pomiędzy dzisiaj panującym w Niemczech monarchą, a przodkiem jego, Joachimem.

Gdy ten ostatni zaczął uciskać szlachtę, uknulo spisek, do którego należały nawet osoby z najbliższego otoczenia elektora.

Pewnego rana, wychodząc ze swych pokojów, przeczytał na drzwiach słowa następujące.

*Jochimkien, Jochimkien, hüte dy
Wo wy dy kriegem, henken wy dy.*

(Joachimku, Joachimku, strzeż się!
Gdzie cię dopadniemy, tam cię powiesimy.)

Gdy Wilhelm II-gi zajął skrzydło pałacu, w którym mieszka obecnie, pierwszy przedmiot jaki uderzył wzrok jego, był kot, zawieszony na klamce n drzwi gabinetu, z napisem:

*Regierst du nicht wie dein Vater,
Wirst du gehängt wie dieser Kater.*

(Jeśli nie będziesz rządzić jak twój ojciec, będziesz wisieć jak ten kot.)

Autora tego ostrzeżenia nie znaleziono.

Ów co napisał wiersz pod adresem elektora Joachima, nie cieszył się podobną bezkarnością. Wieśniak jakiś odkrył spisek cały, gdy należący doń zebrali się w lesie podczas polowania i w dzień mglisty naradzali się, coby im dalej począć należało. Uwięziono ich wszystkich.

Przywódzca spiskowców, niejaki Werstedt został poćwiertowany, a głowę jego wbito na pal i umieszczono w bra-

mie miasta Kepenik. Stała tam lat kilka.

Wspólnicy jego, wzięci na tortury, wydali wszystkich współwinnych zarówno w Berlinie, jak i na prowincyi.

Pierwsi ponieśli karę na miejscu; za resztą ścigała banda siepaczy z oprawcą na czele, przebiegała wsie, rzucała postrach na zamki, wskazane przez torturowanych jako siedliska współwinnych

Był to jednak dopiero początek „oczyszczenia,” poleconego przez elektora Jana.

Na wzór Tarkwiniusza, Joachim ugiął karku możliwym. Kto głową innych przerastał, wnet mu ją ucięto.

Najlepszego przyjaciela swego i powiernika, pana na Lindenbergu, za to, że ograbił jakiegoś kupca pod rogatkami Berlina, skazał na śmierć bez litości. Surowy to był przykład dla całej szlachty brandenburskiej.

I żydom nie lepiej się działo. Antysemita, nie w teorii lecz w praktyce, Joachim postanowił za jednym zamachem pozbyć się synów Izraela, którzy dość gęsto rozsiedli się w jego kraju.

Z kościoła pewnego skradziono kielich nieznaczej wartości z hostyami. To posłużyło za pozór do prześladowań. O spełnienie świętokradztwa tego oskarżono żydów. Ośmnastu zginęło na stosie wysokim na trzy piętra.

W okrucieństwie wyrafinowanem przywiązano ich do słupów w ten sposób, iż wszyscy wzajemnie się wdzilieli; nie dość było na nich kary fizycznej, kazano im cierpieć moralnie, i przyglądać się mękom swych rodziców, braci, przyjaciół.

Oskarżonego o przewodnictwo świętokradzcom oprowadzano po mieście całęm, zaprzągłszy go do taczek, na których gorzało ognisko a w niem szczypcę do czerwoności rozpalone.

Na każdej ulicy rozstajnej szarpano nieszczęśliwego za piersi; z ran głębokich woń wydobywała się smrodliwa.

Na zakończenie wszystkich tych egzekucyj wydano edykt, ogłoszony w Marchii całej, skazujący wszystkich żydów, bez wyjątku, na wygnanie.

A jednak przyznać trzeba, że w myśl testamentu ojca swego, elektor Joachim okazywał się wielce łaskawym

i względnym dla pokornych i ubogich.

Pomiędzy innemi, wielkie znaczenie posiadającymi reformami, wydał on postanowienie, iż każdy człowiek posiadający mniej niż 50 florenów majątku, udawać się może do sprawiedliwości bezpłatnie, a sprawiedliwość ta bezzwłocznie ma być wymierzona.

Prócz tego adwokaci byli obowiązani bronić biednych w sądach „dla miłości Boga i sprawiedliwości,“ czyli daremnie, toby zaś z adwokatów wzbraniał się przed spełnieniem tego obowiązku, tracił prawo zajmowania się swym zawodem.

Wreszcie, aby co do słowa wykonać ostatnią wolę rodzica, elektor założył uniwersytet w Frankfurcie w r. 1506.

Gdyby cokolwiek więcej był logicznym, kazałby się pierwszy zapisać na listę uczniów; nieuctwo jego bowiem było olbrzymie.

Doradcą elektora we wszelkich okolicznościach był astrolog Carion; zdanie przez niego wypowiedziane uchodziło za nieomyślne.

Na dzień 15-ty lipca 1615 roku Carion zapowiedział potop. Elektor uwa-

żał za stosowne w dniu tym schronić się wraz z dworem swoim na niezbyt wyniosły pagórek w Kreuzberg, niedaleko za miastem.

Zdarzyło się właśnie, iż w chwili zapowiedzianej zerwała się straszna burza z deszczem ulewnym i piorunami.

W wypadku tym wszyscy dopatrzili spełnienia wyroczni Cariona; przerażenie przykuło do ziemi elektora i dwór jego cały; oczyma na pół obłąkanemi ze strachu śledzono fale wody, toczące się dokoła pagórka;

Nareszcie słońce z po za chmur wyjrzało. Elektor i towarzysze jego wierzyli stanowczo, iż dzięki sztuce magicznej uniknęli klęski nie mniejszej od powodzi biblijnej.

Od tego czasu Carion wywierał na Joachima wpływ niezem nieograniczony. Kazał mu przyjąć udział w wojnie z Turkami, elektor rozkazu tego bez wahania usłuchał.

Następnie wystąpił z radą, aby elektor wygnał z kraju protestantów, tak samo, jak to uczynił z Żydami.

Już przygotowano cały plan najstraszniejszych prześladowań, już ułożono listy zwolenników reformacji, na śmierć lub tortury z góry skazanych,

już miano przystąpić do wykonania tych strasznych zamiarów, gdy nagle śmierć elektora w r. 1635 uratowała od cierpień znaczną część mieszkańców Brandenburgii.

Czy Carion był doradcą elektora w sprawach polityki? Zdaje się, że tak. Być może jednak, iż Joachim po przodkach swoich odziedziczył zmysł polityczny i trzymał się zasady: brać tam, gdzie najwięcej wziąć można.

Zasady tej trzymali się też wszyscy prawie następcy Joachima i dobrze na niej wychodzili.

Franciszek I król francuski starał się o połączenie na głowie swej korony Francji i cesarstwa świętego pośmierci cesarza Maksymiliana. Dowiedział się o tem Maksymilian, a myśl ta zatrąta mu ostatnie lata życia.

Co dlań atoli było jeszcze przykrzejszym, to zdrada Hohenzollernów, których bezustannie obsypywał łaskami, a którzy wzamian za to przyrzekli potajemnie głos swój zwycięzcy z pod Marignan.

Maksymilian oddał w opiekę Joachimowi Pomorze i Schlezwig-Holsztyn; dla brata jego Alberta, księcia

arcybiskupa magdeburgskiego, wystarał się o tytuł prymasa Niemiec.

Innemu krewnemu Joachima, również księciu Albertowi, przyrzekł, iż za jego poparciem zostanie wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego.

Za wszystkie te dobrodziejstwa Joachim, któremu obiecano rękę księżniczki francuskiej bogato wywianowanej, zobowiązał się dostarczyć w razie potrzeby wojska swe Franciszkowi I-mu, i postarać się iż niemcy obiorą go po śmierci Maksymiliana swym cesarzem.

Brat Joachima, Albert, prymas, dołożył wszelkich starań, aby związek ów jak najsilniejszymi zacisnąć węzły. Użył do celu tego tajemnego swego agenta, Ulricha von Hutten.

Dzięki zręczności tego ostatniego, elektorzy Trewiru i Bawaryi oraz księżęta Julich—Kliwii-Bergu, Holsztynu i Brunszwiku również sprzedali swe głosy Francyi.

Urządzono wszystko w ten sposób, że w chwili danej Franciszek mógł uważać się za pana położenia. Liczył jednak za wiele na Hohenzollernów, których chciwość i dwulicowość

mało podówczas jeszcze znanymi były Europie.

Maksymilian ofiarował więcej niż król francuski, a dwaj bracia, elektor i prymas, wnet znaleźli się po jego stronie.

A przecież, pomimo to wszystko, po śmierci cesarza raz jeszcze nawiązali układy z Luwrem.

Król Francyi wysłał do nich powiernika swego, wyładowawszy skrzynie jego podarkami drogocennymi, a saski dukatami, lecz cóż, kiedy wszystkiego tego było za mało!..

Agent oddany ciałem i duszą Franciszkowi, niejaki Joachim von Malthen, szlachcic meklenburski pisał doń:

— Wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko zdołamy zatkać gardło nienasycone margrabiego. I on i brat jego, biskup, z dniem każdym coraz większe stawiają wymagania.

A epilog tej całej komedyi?.. Cesarzem obrano, jak wiadomo, Karola V-go!

Na kilka dni przed wyborami prymas napisał do brata swego, elektora, list, którego słowa budującymi były dla całego narodu niemieckiego.

„Pomnij, bracie mój, na honor cesarstwa, na chwałę narodu, na sławę twoją. Jeżeli korona dostanie się francuzom — którzy oddzieliwszy się oddawna od rasy germańskiej, nie mają ani wiary ani sumienia, a wiecznie zguby pragną naszej — naówczas biada cesarstwu! Powalą je oni wnet u stóp swoich, zgniotą je, a tron cesarski, elekcyjny, uczynią dziedzicznym!“

Może kto przypuszcza, że list ten pisał który z Hohenzollernów dziś żyjących?.. Nie! to było w r. 1519.

* * *

Joachim II-gi, syn poprzedniego, zupełnie niepodobnym był do swego ojca. Przedewszystkiem okazał się łaskawym dla zwolenników reformacji. Sam nawet przyjął ich wiarę, starej jednak się nie wyrzekł.

— Jeśli człowiek zwyczajny — miał — obejść się może jedną religią dla czegożby margrabia nie mógł mieć dwóch naraz.

Jeden z współczesnych jego pisarzy mówi, iż Joachim II-gi lubiał bar-

dzo przepych obrzędów katolickich. procesye uroczyste, zapach kadzidła.

Zresztą nie leżało to w usposobieniu jego, aby raz zdecydował się na tę lub ową stronę, zarówno w polityce, jak i w religii.

Przyjacielem był wszystkiego co jaśniało, błyszczało, a od czego promienieć mogła aureola, jaką otaczał własną swą osobę.

Udając się do Frankfurtu na koronację Maksymiliana II-go, zabrał z sobą sześćdziesięciu ośmiu hrabiów i magnatów, czterysta pięćdziesiąt dwa konie, niezależnie od świty stosunkowo licznej, pomiędzy którą było jedenastu radców, trzech prałatów i jeden lekarz.

Niemniej wspaniałą defiladę urządził w r. 1569-ym w Berlinie. Wzięła w niej udział cała szlachta Brandeburgii i wszystkie władze miejskie Elektoratu.

Na czele orszaku postępowały bez wyjątku wszystkie dziewice stolicy, zacząwszy od lat dwunastu; brzydsze przybrane w szaty świąteczne i uwieńczone kwiatami, piękniejsze nago, strojne własnymi jedynie kształty, na wzór kobiet antweperskich podczas wjazdu

Karola V-go do tego miasta, jak to z całą drobiazgowością historyczną przedstawia obraz Hansa Makarta.

Margrabia przybrany był w płaszcz złotolity, a prałaci i rycerze jego otoczenia w kostyumu najwspanialsze, lśniące od złota i drogich kamieni; na kapeluszach powiewały pióra drogie o barwach najrozmaitszych.

W podobnie wspaniały i uroczysty sposób obchodzono inny jeszcze wypadek, najważniejszy jaki zdarzył się w rodzinie Hohenzollernów, zapewniający świetną przyszłość małej Brandeburgii.

Skutkiem porzucenia religii katolickiej przez wspomnianego wyżej wielkiego mistrza Alberta Hohenzollern, zakon krzyżacki — który od czasu pokoju krakowskiego przestał istnieć jako żywioł polityczny, lecz którego członkowie olbrzymie dzierżyli włości — naraz ujrzał się pozbawionym wszystkich dóbr swoich. Prusy podniesione do godności wielkiego księstwa lennego, oddane zostały temuż Albertowi. W r. 1525 złożył on hołd swemu lennodawcy Zygmuntovi, a w parę miesięcy później wypędził z kraju wszystkich katolików.

Był to już krok znaczny naprzód zrobiony; Hohenzollernowie jednak niezadawalają się łupieżstwem napoleońskim dokonaniem. Za pośrednictwem kanclerza swego Distermeiera, Joachim otrzymał Prusy jako kraj dziedziczny dla rodziny Hohenzollern-Brandenburg, której on sam był przedstawicielem, krewny bowiem jego, Albert, nie miał potomstwa.

I oto w jaki sposób burgrabia Norymbergii, który za procentlichwiarski otrzymał niewielki kawałek ziemi, w piątym swym już pokoleniu dał początek państwu obszernemu i silnemu.

Na cześć tak ważnego wypadku war to było przecież, aby dziewice berlińskie nadziei jeden zrzuciły swe ubrania i wdziękiem wdzięków swoich dopełniły czaru szczęścia i wesołości.

Rządy Joachima II-go jeszcze jedną zaznaczyły się okolicznością: za niego to zaczęło się panowanie „spódniczek.“

„Dziewczyna z ludu, niejaka Anna Sidow, ulubiona i ubóstwiana przez elektora, przez długie czasy była „słotą i pogodą“ całego margrabstwa.

Codzień na cześć jej urządzano coraz to nowe uroczystości, przedsta-

wienia, turnieje, bale! ulubienica towarzyszyła elektorowi na polowaniach, podróżowała z nim razem, brała udział w ucztach, przeplatanych śpiewem i grą minstrelów.

Zbytki te kosztowały bardzo dużo. Kasa dworska prędko się wyczerpała. Joachim tedy zaczął uciekać się do najrozmaitszych forteli.

Przedewszystkiem sprowadził do Berlina alchemika Ireneusza Filopona Filareta, który obiecywał, iż sakwy elektorskie wypełni skromną sumką, bo mającą jakoby wynosić 304,666,666 talarów i to wszystko za pomocą małego, malutkiego kamyczka filozoficznego, nie większego niż ziarnko siemienia.

Zabrano się do pracy. Filaret dmuchał, mieszał, smażył, topił; nadaremnie — nie mógł wytopić ani talara. Na nalegania Joachima prosił wciąż o cierpliwość.

Nie łatwo to zdobyć się na cierpliwość, gdy pustki w kabzie a ukochana nudzić się zaczyna.

Od czegoż jednak praktyczny zmysł Hohenzollernów?.. Czego nie zdołał zrobić alchemik, tego dostarczą.. żydzi. Pozwolił wygnanym powrócić do

kraju. lecz kazał im za to zapłacić niewiele... 42,000 talarów rocznego podatku.

Gdy powrócili, jednego z nich, Lipolda z Pragi, zamianował skarbnikiem swej prywatnej szkatuły.

Bez długich rachunków, zachodów lub korowodów bankier ów wnet zebrał fundusze żądane. A środek na to miał najprostszy w świecie: przybywał w otoczeniu licznych zbirów do ludzi posiadających pieniądze i zabierał wszystko, co do ostatniego grosza!..

Pewnego dnia ograbiono w ten sposób ośmnastu naraz obywateli berlińskich!..

W tych warunkach uroczystości i zabawy ciągnęły się dalej bez przerwy aż do śmierci elektora, która bardzo późno nastąpiła, gdyż syn jego Jan Jerzy miał lat 46, gdy tron po nim objął.

Panowanie Joachima II-go było bezsprzecznie najwspanialszem, najpełniejszym przepychu z całej epoki margrabiów.

Dwór cały naśladował jego przykład; magnaci rujnowali się doszczętnie.

nie, aby tylko dworować w zbytku swojemu monarsze.

Jedna tylko była osoba odbijająca na tem tle jaskrawem, jeśli nie skąpstwem, to w każdym razie oszczędnością do najwyższego posunięta stopnia. To brat elektora margrabia Johann von Kustrin.

Pisał on pewnego razu do jednego ze swych szambelanów.

„Czy ty wiesz, Bartoldzie, że i ja mam pończochy jedwabne; ale używam ich tylko na niedziele i święta...”

Wstąpiwszy jedną za ledwie nogą na tron ojca swego, Jan Jerzy postanowił położyć kres rozrzutności w kraju całym praktykowanej.

Idąc za wzorem dziadka swojego, zabrał się przedewszystkiem do wypędzenia żydów. Joachim I-szy szukał po temu wzorów i znalazł je, chociaż niezbyt godziwe. Jan Jerzy począł sobie inaczej. Kazał wypędzić wszystkich synów Izraela i... rzecz skończona.

Lippolda oskarżono fałszywie o skradzenie łańcucha złotego i wtrącono go do więzienia. Sądy dla braku dowodów musiały go uwolnić.

Nie długo jednak cieszył się tą wolnością, zarzucono mu bowiem otrucie elektora Joachima II-go, wzięto go na tortury. Łamany kołem wyzionął ducha.

Kraży podanie, że w chwili śmierci jego z pod szafotu wymknęła się mysz. Wszyscy twierdzili, że to szatan opuszczający duszę potępionego, i tłum cały usunął się z trwogą, torując drogę małemu stworzeniu, które wnet przepadło bez śladu w jakiejś dziurze.

Anna Sidow omal nie podzieliła losu Lippolda. Ocalenie zawdzięczała jedynie córce swojej i elektora Joachima, Małgorzacie, której udało się ułagodzić szalonego w gniewie Jana Jerzego.

Ulubienica ojca nieboszczyka zamknięta została w Szpandawie, gdzie wkrótce potem umarła.

Następnie, aby zatrzeć wszelki ślad tego związku, monarcha nie zezwolił na małżeństwo Małgorzaty z jakimś hrabią, lecz zwróciwszy się pewnego dnia do jednego ze swych sekretarzy, zapytał go krótko:

— Chcesz zostać moim szwagrem?

I ożenił pisarczyka swego z nadobną Małgorzatą, która żyła długie lata, jak zwykła mieszczańka, ciesząc się opinią zacnej i uczciwej kobiety.

Podanie ludowe zrobiło z Anny Sidorow „Białą Damę“, która do dnia dzisiejszego ukazuje się członkom rodziny Hohenzollernów, a widmo jej ma być zapowiedzią blizkiej śmierci tego, który ją zobaczył.

Inni dowodzą, że ową „Białą Damę“ jest Agnieszka von Orlamunde, która szalenie była zakochaną w Albercie Pięknym, dawnym margrabi Norymbergi. Bogaty ten dziedzic obszernych włości miał podobno odezwać się pewnego razu:

— Oddałbym chętnie ciało me pięknej wdowie, lecz jej czworo oczów wstrzymuje mnie od tego.

Agnieszka zrozumiała myśl Alberta. Szło mu o jej dwoje dzieci, jakie miała z pierwszym swym mężem. Chcąc pozyskać miłość pięknego margrabiego, zabiła je, wbijając im szpilki złote do głowy.

Omyliła się podwójnie: margrabia mówiąc o czworgu oczów, miał na myśli rodziców Agnieszki, a zbrodnia,

jaką popełniła, przeniknęła wstrętem Alberta.

Zawiedziona oszalała z rozpacz i w szaleństwie umarła.

Od tego czasu duch jej błąka się jakoby po salonach dworu berlińskiego, pozdrawiając lekkim skinieniem głowy osoby napotkane.

Pewien paż zbyt śmiały, znalazłszy się przypadkowo na drodze, którą Biała dama przechodziła, ujął ją w pól i zapytał poufale:

— Dokądże to, moja piękna?..

Nie odpowiedziała, nie wydała się nawet zdziwioną tem spotkaniem, lecz kluczem, jaki trzymała w ręku, uderzyła pazia w głowę tak silnie iż trupem padł na miejscu.

A na drugi dzień wyzionął ducha elektor Jan Zygmunt, syn Jerzego-Jana, o którym powyżej wspominaliśmy.

Jan Zygmunt był pierwszym monarchą pruskim, dawniejszy bowiem Wielki mistrz krzyżaków, renegat Albert, żył jeszcze bardzo długo po zawarciu układu, mocą którego księstwo pruskie przejść miało po jego śmierci na rzecz kuzynów brandeburskich.

WIELKI DUCH

Na zadatek przyszłych walk pomyślnych Jan Zygmunt rozpoczął wojnę z Palatynatem.

Dotychczas najmłodszy z narodów niemieckich, trzymał się zdala od wszelkich rozterek i zakłóceń, będących ciągle na porządku dziennym w krajach sąsiednich.

Pierwszy to był debiut i doskonale wróżył o przyszłości.

Za powód do wypowiedzenia wojny posłużyła szczególnego rodzaju awantura.

Jeden z hrabiów palatyńskich miał zaślubić córkę Jana Zygmunta. Wszystko już było ułożone; zamieniono słowa i pierścienie zaręczynowe, i już miano naznaczyć dzień zaślubin. Zebrało się w tym celu mnóstwo magnatów pruskich i palatyńskich na ucztę w Dusseldorfie; przybyli też: elektor i narzeczony. Uczta wśród kielichów i wesołej rozmowy przeciągnęła się w noc późną.

Nagle rozgrzane alkoholem głowy wszczęły sprzeczkę gwałtowną. Elektor i ów hrabia palatyński również przyjęli w niej udział. Skończyło się na tem, iż Jan Zygmunt spoliczkował narzeczonego swej córki.

Rzecz naturalna, że małżeństwo zostało natychmiast zerwane — współbiedniacy porwali się od stołu, a poczyniwszy bezzwłocznie przygotowania wojenne, ruszyli w pole.

Druga córka elektora więcej miała szczęścia, gdyż bez awantur zaślubiła króla szwedzkiego Gustawa Adolfa.

Uczty weselnej nie zakłócił tym razem żaden wypadek awanturniczy, chociaż nie obeszło się bez niespodzianek. Narzeczony nie przybył na obrzęd zaręczyn, małżeństwo bowiem ułożone zostało „per procura“ na drodze dyplomatycznej.

Pomiędzy posłami delegowanymi do załatwienia tej sprawy znalazł się jakiś człowiek młody, przystojny, którego szwedzi przedstawili jako jednego z najpotężniejszych magnatów swego kraju.

W czasie uczty posadzono go obok księżniczki Maryi Eleonory, córki elektora.

Rozmowa potoczyła się bardzo żywo, młodzieniec bowiem wielce był miły, przyjemny.

Pod koniec uczty, gdy wniesiono zdrowie pary zaręczonej, magnat szwe-

dzki przerwał toast i według wszelkiej formy oświadczył się księżniczce.

Pomiędzy prusakami zapanował popłoch, młodzieniec bowiem zachowywał ściśle incognito, a podobnie śmiałe wystąpienie, w chwili tak uroczystej, mogło znów stać się przyczyną nieporozumień ze Szwecją wcale nie pożądanym.

Jakież atoli było ich zdziwienie, gdy szwedzi w odpowiedzi na oświadczyły owe jeszcze uroczystej wznieśli zdrowie pary narzeczonej a następnie zaraz króla swego. Wówczas dopiero okazało się, iż młodzieńcem owym był Gustaw-Adolf, który w tak szczególny sposób chciał poznać swą narzeczoną.

Marya Eleonora rzuciła się wówczas w jego objęcia, zowiąc go panem swym i mężem najukochańszym.

Dotrzymała słowa, kochała go bowiem, jak tylko najczulsza żona kochać może.

Gdy poległ pod Lützen, przybiegła na plac boju, kazała wykopać zwłoki jego, pogrzebane na miejscu, aby raz jeszcze przyjrzeć się rysom najukochańszego małżonka i bohatera, poczem, chociaż młodą była i piękną, zamknęła się w pokoju czarnym ki-

rem wybitym z oknami krepą przyśloniętymi, i całą resztę życia tam spędziła.

* * *

Związek ze Szwecją powinien był zdecydować o karierze wojennej Jerzego Wilhelma, który objął po ojcu swoim Prusy wraz z elektorstwem Brandeburskiem.

Nadzieje te zawiodły, Jerzy Wilhelm bowiem był człowiekiem bez talentu i bez energii.

Wojna wrzała w Niemczech całych; każdy z panujących musiał stanowczo oświadczyć się albo za cesarzem, albo za królem szwedzkim. Jeden tylko elektor brandeburski uchylił się od tej alternatywy, sądził bowiem, że nie mieszając się do wojny, uchroni kraj swój od klęsk i niepokoju.

Omylił się bardzo, gdyż nie stanąwszy otwarcie po żadnej ze stron wojujących, przez obie uważany był za wroga.

Widząc, że postępowanie podobne nie wychodzi mu na dobre, zorganizował pułk złożony z tysiąca ludzi. Ponieważ im jednak nie płacił, więc żołnierze jego żyli żebranią i rabunkiem,

i szerzyli gorszy postrach w kraju całym, aniżeli wojska szwedzkie lub cesarskie.

Nieład i brak porządku, otworzył naoścież granice Marchii dla walczących.

Do kraju wpadał kto chciał. Pierwsi pojawili się cesarscy. Elektor wyjechał do Prus, a Wallenstein tymczasem, nie pytając nikogo o pozwolenie, założył główną kwaterę w Berlinie.

Jerzy Wilhelm napisał do „generallissimusa“ cesarskiego list z prośbą, aby oszczędzał kraj, żyjący w stosunkach przyjaznych z cesarzem.

Wallenstein wzruszył ramionami i odpowiedział krótko:

— Wojna nie jest zabawką dzieciństwa, a żołnierze żyć muszą!..

W Berlinie stanął pułk Torkwata Conti i rozkwaterował się po domach prywatnych. Żołnierzom musiano dostarczać wszystkiego czego zażądali, inaczej bowiem brali bez prośby, wszystko, co im pod rękę popadło.

Była to jednak dopiero przygrywka do klęsk o wiele gorszych.

Armia cesarska, pobita na Pomorzu, przebiegła przez Brandenburgię niby

huragan, plądrując, rabując, paląc i niszcząc wszystko po drodze.

Berlin nie wyszedł cało z tej burzy.

W ślad za armią cesarską kroczył Gustaw Adolf. I on także musiał żywić żołnierzy w marszu pośpiesznym na Magdeburg, będący podówczas w rękach Tyllego.

Co gorsza, dla zapewnienia sobie odwrotu w razie przegranej bitwy, zajął Szpandawę i Kostrzyn.

Tylly, widząc zbliżającego się wroga, puścił Magdeburg cały z dymem, wymordowawszy wpierw większą część mieszkańców.

Król szwedzki wpada we wściekłość. Oskarża szwagra swego winnym tej klęski, niweczącej cały plan kampanii i oświadcza, że od tej chwili uważać go będzie za stronę walczącą.

Rozbija obóz pod samym Berlinem. Elektor nadbiega, błaga o łaskę.

W odpowiedzi na tę prośbę Gustaw Adolf kieruje dziewięćdziesiąt dział na Berlin i zarzuca miasto całe kulami, które rozwalają domy i zabijają mieszkańców.

Dopóki jeszcze żył Gustaw Adolf, berlińczycy znosili jakoś cierpliwie wszystkie te nieszczęścia; lecz po je-

go śmierci szwedzi okazali się gorszymi łupieżcami niż żołnierze cesarscy. Po ich ustąpieniu przybyli sasi, później znów armia Wallensteina, wreszcie szwedzi po raz drugi, a wszystkim trzeba było płacić okup i kontrybucyę.

Od r. 1635 przechodziły przez Berlin wszystkie prawie narody całej Europy: włosi, kroaci, hiszpanie, walloni, a wszyscy mordowali się tu wzajemnie lub dusili berlińczyków, palili, rabowali.

Nędza zapanowała w mieście całym. Ludność, zdziesiątkowana głodem lub strzałami, nie miała nawet siły, aby skarżyć się na swą biedę.

Na prowincyi jeszcze było gorzej. Żołdactwo przebiegało wsie, niszcząc wszystko ogniem i mieczem.

Magnaci, mieszczenie i chłopci zrównali się w obliczu kłeski; zabrano im dobytki, a gdy już nie mieli nic na zaspokojenie żądań włóczęgów całego świata, zabijano ich, mordowano, palono ich mieszkania.

O spełnianych okrucieństwach trudno wyrobić sobie pojęcie: dzieci palono w oczach rodziców, tłumy kobiet

nagich, powiązanych, gnano jak bydło, z miejsca na miejsce.

Celem obrony przed żołdactwem zorganizowały się zbrojne bandy chłopskie; ponieważ im jednak żywności zabrakło, trudniły się więc rozbojem.

Wnet do kłeski całej przyłączył się głód straszny, gdyż ziemia w kraju całym leżała odłogiem; trupy ludzkie zaścielały olbrzymie przestrzenie pól; nie było bowiem nikogo, ktoby je chciał pogrzebać.

Urządzano polowania na ludzi, zabijano ich i zjadano. Niejaki chłop szlązki, Melchior, własną ręką zabił przeszło pięćset ludzi a trupy ich sprzedał jako mięso do jedzenia.

W otoczeniu Jerzego Wilhelma bawiono się tymczasem wesoło, nie zważając wcale na to, co się dzieje w kraju.

W muzeum Hohenzollernów znajduje się muszkiet, z którym elektor nigdy się nie rozstawał. Niejednego zadziwia mania tak wojownicza u człowieka tak pokojowo usposobionego. Zbliżywszy się nieco bliżej do muszkietu owego, łatwo odgadnąć zagadkę, podpis bowiem brzmi:

*Naczynie do wina
w kształcie muszkietu*

należące do Elektora Jerzego Wilhelma.

Jedyna to broń, jaką się w ciągu całego życia swego posługiwał.

Dziejopisarz niemiecki Streckfuss, autor dzieła „Pięćset lat historii Berlina“ wyraża zdziwienie, dlaczego współcześni nazwali Fryderyka Wilhelma, syna Jerzego-Wilhelma „Wielkim elektorem.“ Chyba tylko z powodu niczem nieograniczonej chęci powiększenia kraju, jaka cechowała panowanie tego monarchy.

Nie wahał on się przed niczem, byle tylko dopiąć tego celu. Poświęcał przyjaciół najserdeczniejszych, łamał słowa dane i przysięgi, jeśli chodziło o zabór możliwy do przeprowadzenia.

Streckfuss dodaje, że wielki elektor był zły, mściwy i niesprawiedliwy. W takich oto barwach przedstawił Niemiec portret moralny bohatera pruskiego.

O wyglądzie jego zewnętrznym sądzić możemy z posągu stojącego w muzeum Hohenzollernów, a wyrobionego z wosku o barwach naturalnych.

Widzimy tam Fryderyka-Wilhelma w ubraniu szarem, w butach wysokich z ostrogami, w kapeluszu bez pióra, który nosił w bitwie pod Fehrbellin.

Pokój, w którym posąg ów się znajduje, jest wierną kopią pokoju, gdzie urodził się Fryderyk I-szy syn wielkiego elektora w zamku królewieckim.

Szczególną uwagę zwracają obicia w stylu odrodzenia, kominek z marmuru czerwonego inkrustowany złotem, oraz mnóstwo drobnych sprzęcików i przyborów wojennych, będących własnością tego, którego słusznie nazwano założycielem „potęgi“ pruskiej.

Wiemy już, w jakim stanie znajdowała się Marchia, gdy Fryderyk-Wilhelm objął nad nią panowanie.

„Elektorat cały — pisze Fryderyk II-gi w swych pamiętnikach — był pustynią przerażającą. Ślad siół rozpoznać było można jedynie po wzgórzach popiołu, niedozwalającego rość drzewom ani rozwijać się roślinom; miasta przedstawiały się jako stosy gruzów i ruiny.“

Fryderyk Wilhelm zaledwie miał lat dwadzieścia, gdy wstąpił na tron. W proklamacyi wydanej na cześć dnia tak uroczystego, tytułował się margrabią brandeburskim, arcy-kancelrzem i elektorem cesarstwa świętego rzymskiego, księciem (Herzog) Prus, Julichu, Kliwii, Bergu, Szczecina, Kaszub, księciem (Prinz) Pomorzania i Wandalów, Szlązka, Krosna, (Crossen) i Kiernowa (Jägersdorf) burgrabią Norymbergi, księciem Rugii, hrabią Marchii, panem na Ravensteinie i t. d. i t. d.

Wspaniałe to były tytuły, ale niestety, fikcyjne; wszystko bowiem, albo prawie wszystko, co otrzymali lub sami zabrali przodkowie Fryderyka Wilhelma, powróciło do dawnych właścicieli lub w cudze dostało się ręce.

Szło teraz o to, aby to wszystko odebrać, zaczynając od części najważniejszej, a mianowicie od Prus.

Ministrem ostatniego elektora był hrabia Schwarzenberg, osobistość oddana ciałem i duszą cesarzowi.

Fryderyk Wilhelm, odziedziczywszy go w spadku po swym rodzicu, był na tyle rozsądnym, iż nie dał mu

dymisyi, bał się bowiem zbyt wielkiej wrzawy ze strony człowieka cieszącego się uznaniem w całym elektoracie, zwalczył go jednak powoli najrozmaitszemi rozporządzeniami, dowodzącemi stałości zasad i znajomości przedmiotu przezeń poruszonego.

Schwarzenberg oddał po śmierci Jerzego Wilhelma całą armię pod rozkazy cesarza; Fryderyk Wilhelm kazał wojsku całemu złożyć przysięgę wierności dla rządów elektorskich, generałom zaś zabronił przyjmować rozkazy cesarskie.

Niektórzy odpowiedzieli odmownie. Pomędzy innymi pułkownik Rochow, gubernator Szpandawy oświadczył, iż raczej wysadzi w powietrze całą wawronię, aniżeli złamie słowo dane cesarzowi.

Inni poszli za jego przykładem. Elektor nie zrywał się, nie gniewał, przeczekał czas jakiś, utrzymując przyjazne z nimi stosunki, nareszcie pewnego dnia w najgrzeczniejszej formie rozesłał do wszystkich wyższych oficerów zaproszenie na polowanie w okolicach Grünwaldu.

Zjechali się wszyscy. Bez zwłoki czasu elektor kazał ich zaarrestować,

złożył sąd pod swem przewodnictwem, i skazał wszystkich na śmierć.

Przed spełnieniem jednak egzekucyi znów okazał się nadzwyczaj rozsądnym, wszystkim bowiem pozwolił uciec z kraju. Nie namyślali się długo, wiedzieli bowiem, że z Fryderykiem Wilhelmem niema co żartować... Uciekli.

Z pomiędzy wszystkich dowódców jeden tylko Burgsdorf, gubernator Kostrzyna okazywał się od początku wiernym elektorowi. Za wierność tę Fryderyk-Wilhelm obsypał go łaskami których mu wszyscy zazdrościli, lecz które wkrótce zostały odwołane, a to z powodu niezwykle gwałtownego usposobienia i nieumiarkowania.

Burgsdorf tak sobie wziął do serca tę niełaskę, iż w jakiś czas później umarł.

I Schwarzenberg wkrótce został zabity przez własnych swych żołnierzy, którym nie chciał płacić żołdu.

Od tej chwili młody monarcha pozbywszy się zarówno tych, co mu przeszkadzali, jak i tych, którym winien był pewną wdzięczność a niemógł zadowolić ich wygórowanych

żądań, rozwinął skrzydła do lotu i zabrał się do urzeczywistnienia planów, od dawna obmyślanych i opracowanych.

Młodość swoją elektor spędził w Holandyi; wyborna to była podówczas szkoła dla przyszłych monarchów. Wyniósł z niej pojęcia odmiennie od tych, jakimi kierowano się w jego rodzinie. Gleba jednak nie była jeszcze dostatecznie przygotowana, niedość była użyźniona.

Przedewszystkiem więc zawarł zaczepno-odporne przymierze na lat 20 ze Szwecyą i za pierwsze sumy zaszczędzone wykupił kilka zamków, zajętych przez Gustawa-Adolfa.

Później, po zawarciu pokoju, westfalskiego, kończącego wojnę 30-letnią, ustąpił szwedom Pomorze ze Szczecinem i wyspą, Rugię w zamian za biskupstwo Halberstadt, Menden, i Kamin.

Niedługo jednak trwał ten pokój, tak pięknie rozpoczęty. Karol-Gustaw rozpoczął wojnę, której celem miał być zabór Polski; Fryderyk-Wilhelm, związany przymierzem, stanął po jego stronie. Karol-Gustaw wygrywał bitwy a Fryderyk-Wilhelm

układał się z nieprzyjacielem i zarobił na tem wcale dobrze; uwolnił bowiem raz na zawsze siebie i swych potomków od składania hołdu z krajów pruskich, a tem samem zerwał wszelką łączność tych prowincyj z dawnymi ich władzcami.

Załatwiwszy się z jedną sprawą, zabrał się energicznie do drugiej.

Ni zdał ni zowąd bez powodu, bez pozorów nawet zwrócił się naprzeciw wczorajszych swych sprzymierzeńców, zajętych wojną w Danii; wypędza ich z wyspy Aland, zagarnia Fionię i niesie pożogę wojenną przez Pomorze aż do Holsztynu.

Zajawszy raz te kraje, już ich więcej nie wypuścił.

Pytany o powód tej wojny, odpowiedział:

— Bóg nie objawia się już monarchom za pomocą prorocत्व ni cudów. Gdy zdarzy się sposobność rozszerzenia granic, gdy uczynić to można z przekonaniem, że zwycięstwo będzie po naszej stronie, nie należy się wahać, bo to jest właśnie wskazówka od Boga zesłana!..

Zdania tego nie zapomnieli nigdy królowie pruscy,

Przez czas pewien elektor trzyma stronę cesarskich.

Na czele wojsk swoich pojawia się w Alzacyi, ale Turenne przerzuca go wnet za Ren, wymija go i zbliża się pod sam Berlin.

Podczas nieobecności Fryderyka horyzont z tej strony strasznie się zaciemnia.

Szwedzi rabują dookoła; chcąc wy dobyć pieniądze od swych ofiar, zakupują mężczyzn po same głowy i grają w kręgle, mierząc do ludzi. Przygważdżają kobiety za piersi i bicują je tak długo, dopóki nie dowiedzą się o kryjówkach, w których zostały schowane pieniądze.

Przywódcą tych rozbojów bezecnych jest niejaki Wrangel, generał Karola Gustawa.

Postępowanie podobne wywołuje powstanie całej Marchii; włościanie pruscy zbierają się tłumnie, zbroją się i ciągną na Berlin. Po drodze stawiają opór rozbójnikom szwedzkim.

Niestety, opór to daremny, mają bowiem do czynienia z armią regularną, należycie uzbrojoną i wyćwiczoną.

Na szczęście w tejże samej prawie chwili Fryderyk powraca z Alzacyi,

zachodzi szwedom tyły i zadaje im straszną porażkę pod Fehrbelin.

Opowiadają, że mając siły mniej liczne, a chcąc żołnierzy swych zagrozić do boju, wsiadł na konia białego i szedł na czele armii, aby w ten sposób narazić się na jaknajwiększe niebezpieczeństwo, wystawiwszy się niejako na cel strzelców szwedzkich.

Jeden z żołnierzy pruskich nie chcąc zezwolić, aby monarcha narażał się na strzały, zamienił z elektorem ubranie, dosiadł jego konia, poprowadził wojsko kilkadziesiąt kroków i padł zasypany gradem kul nieprzyjacielskich.

Wojsko przypuszcza, że to dowódca padł ukochany, rzuca się na oślep między szwedów i sprawia rzeź prawdziwą.

Daremnie-by kto szukał w muzeum Hohenzollernów śladu owego dzielnego żołnierza, który uratował życie wielkiemu elektorowi. Zaledwie imię Uhlego ocalało z fali zapomnienia.

Po zwycięstwie pod Fehrbelin armia zwycięska wkroczyła uroczyscie do Berlina. Był to tryumf prawdziwy.

Pomiędzy trofeami zdobytemi na wrogach, znajdowały się tłumy jeńców szwedzkich, którym lud rzucał obelgi.

Fryderyk-Wilhelm nie przyjął udziału w tej uroczystości; by uniknąć wszelkich niespodzianek, pozostał w ariergardzie, w orszaku zaś głównym przedstawiał go wierny i dzielny jego generał Derfflinger.

Popularny ten generał, tak samo jak późniejsi Blücher, Wrangel i Moltke, był skończonym typem żołnierza, który sam sobie zawdzięcza szczęście i majątek.

W młodości swej był on czeladnikiem krawieckim i nie zapowiadało przyszłej jego karyery, gdy nagle wypadek drobny a niespodziany zmienił całe jego życie.

Pewnego dnia wędrując jak wszyscy czeladnicy ówczesni po całym kraju, przybył nad brzeg rzeki i nie mógł przeprowić się promem, gdyż nie miał ani grosza w kieszeni.

Daremnie błagał przewoźników, nie chcieli go zabrać, nie zabierali bowiem nikogo bez opłaty, prócz żołnierzy.

Przyszła mu myśl do głowy: dlaczego nie miał zostać żołnierzem?.. Jakże nędznym wydał mu się zawód jego w porównaniu z tymi dzielnymi wojownikami, których za darmo na prom zabierano.

Jakby na szczęście pod ręką znalazł się sierżant, trudniący się werbunkiem rekrutów.

Derfflinger nie zawahał się ani chwili, podpisał umowę i śmiało wstąpił na prom, bez grosza, lecz z nadzieją, iż na nowej tej drodze czeka go szczęście i chwala.

Nadzieje go nie zawiodły; przekonał się o tem 21-go czerwca 1675 r., gdy cały Berlin wydawał na cześć jego okrzyki.

W dwa dni później przybył do stolicy i sam elektor, lecz tak prędko wjechał do zamku, iż straż nie zdążyła nawet sprezentować przed nim broni.

Następnie bez odpoczywania puścił się w pogoń za szwedami, odebrał im Szczecin i Rugię, zdobył Anclau i Stralsund, wreszcie powrócił do Prus, gdzie po raz ostatni dał uczuć potęgę swego oręża szwedom, którzy rzucili się w tę stronę na oślep pod wodzą króla swego Karola Gustawa.

Fryderyk-Wilhelm nie mógł długo cieszyć się wszystkimi plonami swych zwycięstw.

Opuszczony przez cesarza, który zaczął lękać się jego powodzenia, za-

grożony przez Francję, która zabrała mu Kliwię, zagarnęła część Westfalii, podczas gdy zajęty był wojną w Prusach, przystąpił najpierw do układów w Saint-Germain, a następnie zawarł pokój w Nimwedze. Musiał co prawda zwrócić szwedom zdobyte na nich Pomorze, lecz jako wynagrodzenie za tę stratę, otrzymał arcybiskupstwo Magdeburgskie, które z posiadłości duchownej zamienione zostało w świecką i raz na zawsze przyłączone do dzielnic pruskich.

Oto bilans wojennych wypraw, przedsięwziętych przez wielkiego elektora; wyniki ich nie odpowiadały zazwyczaj ani nadziejom jego, ani ofiarom, jakie za sobą pociągały.

Prusom zabrakło ludzi i pieniędzy. Wnet jednak podatki olbrzymie i najrozmaitsze praktyki finansowe, do których zaliczyć należy i fałszowanie monety, napełniły na nowo kasy państwowe.

I ludzi też wkrótce dość się znalazło. Przyczyniła się do tego Francya, a właściwie rządy Ludwika XIV.

Po odwołaniu edyktu nantejskiego przez tego monarchę, po rozpoczęciu prześladowania hugonotów, Fryderyk-

Wilhelm wezwał ich do siebie i obsypał dobrodziejstwami.

Pierwsi wygnańcy francuscy z roku 1685 przyjęci zostali na dworze elektorskim z największymi honorami.

Ludwik XIV powinien był spodziewać się tego, wielki elektor bowiem od dawna bronił sprawy swych współbraci w wierze przed tronem jego królewsko-chrześcijańskiej mości, jak nazywano wówczas króla francuskiego.

W r. 1686 wystosował list, w którym prosi o opiekę nad reformowanymi; są oni prawdopodobnie bez wiedzy monarchy narażeni są na prześladowania.

Na list ów Ludwik XIV odpowiedział bardzo szorstko, zaznaczając, iż w kraju jego nie dzieje się nic bez jego wiedzy, skargi zaś reformowanych są przesadzane. Zresztą kwestya to wewnętrzna, do której nikt z zewnątrz mieszać się nie powinien.

Edykt nantejski odwołany został urzędowo dnia 18-go października 1685 r. W jedenaście dni później elektor również wydał edykt urzędowy, zapraszający wygnańców do siebie, i kazał go ogłosić w kraju całym, jak również postarał się o ogłoszenie go we Francji.

W edyktie tym obiecywano hugonom wiele praw szczególnych i dobrodziejstw.

Przyznać należy, iż Wielki elektor wypełnił co do słowa swe obietnice.

Każdy z emigrantów, chociażby był pochodzenia włościańskiego, osiadając na ziemi pruskiej otrzymywał prawa mieszczzańskie lub szlacheckie i uwolniony zostawał na lat dziesięć od wszelkich podatków, a to, aby jak najprędzej mógł dorobić się majątku.

Rolnikom ubogim wydzielano grunty za darmo, rzemieślnicy otrzymywali znaczne zapomogi na otwieranie warsztatów.

Wszystkie koszty w tym celu ponosiła prywatna szkatuła Wielkiego elektora, który wyjątkowo w tym wypadku okazywał się bardzo hojnym.

Zdziwienie olbrzymie zapanowało w kraju całym, gdy Fryderyk-Wilhelm kazał wydać na początek 40,000 talarów, sumę naówczas bardzo poważną; wkrótce jednak suma ta doszła do 400,000. Spoglądano na elektora jak na szaleńca, wyrzucającego darmo pieniądze. Wiedział on atoli dobrze, co czyni; w ten sposób bowiem zapewnił

Prusom rozwój przemysłu i rolnictwa i kraj uczynił bogatym.

Nie na tem jednak kończyły się do-brodziejstwa Fryderyka-Wilhelma dla hugonotów. Pragnął on, aby nowi jego poddani uczyli różnicę pomiędzy swem położeniem obecnem a dawniejszem, utrzymywał więc z nimi stosunki bezpośrednie. Każdy kto tylko miał jakiś interes urzędowy, przedstawiał się elektorowi i załatwiał swą sprawę osobiście, a nikt nie odszedł nigdy z próżnemi rękoma.

W ten sposób Fryderyk-Wilhelm pozyskał sobie sympatyę francuzów i hugonotów przerobił na prusaków najwierniejszych i najzupełniej oddanych swemu władcy.

Łatwo domyśleć się można, iż gromadne przyjmowanie francuzów w Berlinie, osadzanie ich na ziemi pruskiej odznaczanie ich na każdym kroku, nie sprawiało Ludwikowi XIV przyjemności.

Za pośrednictwem swego ambasadora, hrabiego Reberac, starał się zmieścić życzliwe usposobienie Fryderyka-Wilhelma ku ofiarom swej nierozsądnej polityki.

Daremnie jednak Reberac przedstawił elektorowi, że wszyscy emigranci francuscy są to ludzie niegodziwi.

Gdy pewnego dnia przybył do Berlina marszałek de Schomberg i przedstawił się w obecności Reberaca Fryderykowi-Wilhelmowi, elektor zanim odpowiedział na pozdrowienie zwrócił się do ambasadora i zapytał:

— Czy i to także człowiek niegodziwy?..

Reberac zmilczał a Schomberg został mianowany natychmiast generalissimusem armii brandeburskiej z pensją 30,000 talarów rocznie i tytułem magnackim, z pierwszym miejscem po tytułach książąt krwi pruskich.

Oprócz tego elektor kazał dlań zbudować pałac wspaniały na promenadzie Tkackiej (Weber-Promenade); w pałacu tym mieszkał później Fryderyk II-gi, będąc następcą tronu, a ostatnio zajmowała go cesarzowa-matka Wiktorya podczas pobytu swego w Berlinie, większą część bowiem życia swego spędzała ona na rodzinnej swej ziemi angielskiej.

Schomberg nie miał sposobności wdzięczenia się na polu bitwy za gościnę, jakiej mu udzielono w nowej

ojczyźnie; pociągnął jednak za sobą mnóstwo oficerów francuzkich, którzy talent swój i życie poświęcili dla Prus, a szeregi armii brandeburskiej chwała napełnili.

Na podstawie pomnika zwycięscy z pod Pragi do dnia dzisiejszego widnieją nazwiska jego towarzyszków: du Moulin, Héroid, de Hautcharmois, de la Motte-Fouquet, de Forcade, Riaix.

A ileż to razy francuzi spotykali się na polu bitwy podczas ostatniej wojny z żołnierzami pruskimi, którymi dowodzili oficerowie, noszący czysto francuzkie nazwiska?

Na ulicach Berlina widnieją na szyldach imiona francuzkie, pozostałe jako ślad niepolitycznego kroku Ludwika XIV.

Jeden z pierwszych kuśnierzy berlińskich nazywa się Michelet, doktor Murat jest prezesem towarzystwa historycznego Brandeburgii, w przewodniku po Berlinie znajduje się pomiędzy literatami Racine.

Wszystko to francuzi z krwi i kości, których przodkowie zostali przyjęci gościnnie przez Fryderyka-Wilhelma.

Dziś żyli się oni tak z Prusami, iż

prócz nazwiska nic w nich francuzkiego nie pozostało.

* * *

Na pewien czas przed protestantami, z gościnności Fryderyka-Wilhelma skorzystali żydzi. Wielki elektor pozwolił pięćdziesięciu rodzinom żydowskim, wygnanym z Austrii, osiedlić się w Brandeburgii. Ponieważ nie wyznaczył im miejsca zamieszkania, więc prawie wszyscy pozostali w Berlinie.

Dobrze im się działo; w ślad też za nimi przybyło mnóstwo synów Izraela ze wszystkich stron świata.

Wkrótce liczba ich była tak znaczną, że ci, co pierwsi przybyli, chcąc wyłącznie korzystać z przywilejów, jakimi ich obdarzono, postarali się u elektora o odesłanie późniejszych intruzów z powrotem do dawniejszych miejsc zamieszkania.

* * *

Zakończywszy wojny zwycięskie, Fryderyk-Wilhelm postanowił trzymać się stale przysłowia łacińskiego: „si vis pacem, para bellum,“ i przekazać je następcom swoim.

Główną część więc pracy i starań zwrócił w kierunku przygotowywania się do nowych bojów.

W tym celu stworzył pierwszą w Prusach armię stałą. Zorganizowanie jej nie było rzeczą łatwą, miał bowiem do czynienia raczej z bandytami aniżeli z żołnierzami.

Wprowadzenie karności pomiędzy ludzi najniekarniejszych w świecie dużo go kosztowało, musiał nieraz chwycać się środków gwałtownych.

Berlińczycy codzien prawie przypa-trywać się mogli na ulicach żołnierzom karanym cielesnie, których przepuszcza-no przez dwa szeregi różg; dla oporniejszych gotów był zawsze szafot wystawiony na Molkenmarkt.

Oficerowie byli oddani pod osobistą, surową kontrolę elektora; regulamin ich jednak zupełnie był odmienny od regulaminu żołnierzy. Tu kara cielesna surowo była wzbroniona.

Pewnego razu pułkownik von Schoning wygrzmocił porządnie powładnego sobie oficera Blumenthal. Elektor wewzwał ich obu do siebie, a wręczywszy obitemu laskę, kazał mu bezzwłocznie oddać stosowną porcę razów swojemu zwierzchnikowi.

Dzięki tym i wielu innym środkom energicznym, Berlin przybrał wygląd miasta cywilizowanego, dotychczas bowiem mieszkańcy jego byli wciąż lu-pem żołdactwa rozpasanego, przybyłego ze wszystkich stron świata.

Chcąc ochronić stolicę swą na przy-szłość od napadów, postanowił ją ufor-tyfikować, natrafił jednak na zacięty opór mieszkańców, a zwłaszcza intere-sowanych, którzy nie chcieli oddać gruntów swych i posesyi pod wały i fo-rtece ochronne.

Zaczęły się z tego powodu najroz-maitsze sprzeczki i awantury. Doszło aż do tego, że elektor wydał prawo obrazy majestatu, obowiązujące do dnia dzisiejszego, a poraz pierwszy podów-czas zastosowane.

Jedynie tylko brak czasu nie do-zwolił Fryderykowi urzeczywistnić swe-go projektu.

Pod względem upiększenia miasta gmachami wspaniałemi, elektor miał rękę o wiele szczęśliwszą. Do przepro-wadzenia planów podjętych w tym kie-runku wszyscy mu dopomagali.

Rozporządzenia co do zamiatania ulic, dawniej nigdy nie praktykowane, da-lej co do oświetlenia miasta, utworze-

nia straży ogniowej, przyjęte zostały z największym uznaniem.

Bogaci mieszczenie Berlina chętnie składali pieniądze na utworzenie nowego cyrkułu, zwanego Derotheenstadt.

Promenada Tkacka również w owym czasie powstała; miała ona połączyć zwierzyńiec (Thiergarten) z parkiem zwanym Lustgarten. Był to ogród wspaniały w samym środku miasta; znajdował się na dzisiejszym placu na wprost zamku.

Było to ulubione miejsce przechadzek Wielkiego elektora; odpoczywał tam po trudach wojny i rządów, poświęcając wolne chwile ptakom, które karmił własnymi rękoma, oraz oglądając budowy nowego pałacu, który kazał przerobić od dachu aż do fundamentów.

Dokonawszy tego wszystkiego, Fryderyk Wilhelm zaczął przemyślać o utworzeniu dworu. Złożył go po długich zachodach, lecz dwór ten nie był wcale okazałym; pierwszy lepszy książę niemiecki mógł iść w zawody pod względem zbytku i wystawności.

Na dworze berlińskim czuć było wpływ Wersalu; mężczyźni nosili pe-

ruki, a kobiety czesały się à la Maintenon.

W tymże samym czasie przyjęto język francuski jako urzędowy: w ślad za dworem zaczęło nim mówić całe mieszczaństwo pruskie.

Język ten utrzymywał się przez dwa wieki, a zapuścił korzenie swe tak głęboko, że dziś jeszcze Wilhelm II-gi stara się wykorzenień jego pozostałości.

Przyjęcia na dworze wielkiego elektora urządzano od czasu do czasu wspaniałe; niekiedy przybywało poselstwo ze stron dalekich, przywabiłone wielkością imienia zwycięzcy z pod Fehrbelin.

Największe zaciekawienie i wrażenie wywarło poselstwo wysłane przez cara Fiedora Aleksiejewicza aż do owego czasu Berlin nie zwracał spojrzenia swego w ową stronę.

Poselstwo rosyjskie przybywające na dwór Fryderyka Wilhelma z niezwykłą okazałością, sprawiło berlińczykom niespodziankę przyjemną.

Inaczej rzecz się miała z poselstwem wielkiego chana tatarów. Pewnego dnia ujrzano na ulicach Berlina grono ludzi wynędziałych, okrytych łachmanami,

których raczej można było wziąć za żebraków wędrownych, aniżeli za posłów potężnego mocarstwa.

Ludność Berlina przywitała ich śmiechem i gradem kamieni. Na nic nie zdążyli się perswazyje ich tłumacza i przewodnika, jakiegoś Niemca, któremu później wielki chan za tę obrazę kazał uciąć nos i uszy.

Ciągnęli za sobą konia suchego i kulawego, którego wraz z parą pistoletów zardzewiałych mieli oddać elektorowi jako dar od swego władzcy.

Kiedy się przekonano, że biedacy ci istotnie byli wysłannikami wielkiego chana, o którego bogactwach i potędze legendowe obiegały baśnie, rozczarowanie berlińczyków nie miało granic.

Rzecz naturalna, iż na przyjęcie oryginalnych tych dyplomatów nie urządzano ani balów, ani ogni sztucznych. Obdarzono ich ubraniem i bielizną i odesłano ich z powrotem wielkiemu chanowi tatarów.

Do wypadków ciekawych należało przybycie jakiegoś królika negrów z Afryki wschodniej. W krainie jego wielki elektor założył kolonię pod o-

broną fortu silnego, z którego dziś zaledwie ruiny pozostały.

Nie należy przypuszczać, że Prusy czekały aż na Wilhelma I-go lub II-go by postawić swą stopę na ziemiach odległych. Inicytywa w tym względzie należy do Fryderyka Wilhelma.

Pociągnięty ogólną gorączką, jakiej ulegała podówczas Europa cała, wielki elektor nie chciał pozostać w tyle po za ruchem kolonialnym.

Stosownie do sił swoich założył kilka stacyj i faktoryj, które w krótko zakwitły wspaniale dzięki handlowi niewolników, uprawianemu na wielką skalę przez jakąś kompanię niemiecką.

W przedsiębiorstwie tem Fryderyk Wilhelm interesowanym był osobiście, włożył w nie bowiem kapitał 8,000 talarów; z wielką też uwagą śledził za rozwojem kolonij i handlem w owych stronach. Ze śmiercią jego skończyło się istnienie stacyj i faktoryj niemieckich.

W dwieście lat później dopiero przypało potomkom jego w udziale podnieść tę myśl i rozwinąć ją na wielką skalę.

*

*

*

Obok przymiotów zdobiących Fryderyka-Wilhelma i czyniących panowanie jego świetnem, z zadziwieniem spotyka się z dziwnymi wybrykami, świadczącemi niejako o niskim charakterze, niegodnem człowieka prawdziwej wartości, jakim bezsprzecznie był wielki elektor.

Rysem to jest jednak charakterystycznym rodziny Hohenzollernów, iż wszyscy, nie wyłączając takiego filozofa, jakim był Fryderyk II-gi, nawiedzani bywali i bywają jakimiś halucynacjami mistycznymi, objawiającemi się dziedzicznie.

Widzieliśmy już kilka przykładów czegoś podobnego pomiędzy pierwszymi margrabiami brandeburskimi; ujrzemy je nieraz jeszcze w ciągu dalszej historii ich następców.

Dzisiejszy cesarz Wilhelm II-gi również zdradza ślady tego mistycyzmu.

Żaden atoli z Hohenzollernów nie kosztował w większej ilości i z większem upodobaniem zatrutego owocu magii, aniżeli wielki elektor.

Głównym jego alchemikiem był dawny pokojowiec Kunkel, którego horo-

skopy decydowały o wszystkich sprawach Fryderyka-Wilhelma.

Człowiek ten, bardziej wpływowy niż poprzednicy jego, Carion i Philaret, był prawdziwym złym duchem swego pana.

W kwestyach wojskowych elektor był niezależnym i nikomu do nich wtrącać się nie pozwolił; sprawami za to wewnętrznymi kierował istotnie Kunkel i nieraz nad głową swego władcy groźne gromadził chmury.

Nikczemnik ten dopatrywał wszędzie jakichś czarów lub uroków i na jego to podżegania toczyły się bezustannie procesy, wytaczane rzekomym czarownikom.

Nikt nie był wolnym od podejrzeń tego szarlatana, który, jakkolwiek żył w kraju protestanckim, pod wielu względami przewyższył słynnego inkwizytora hiszpańskiego Torquemadę.

Z szafotem, czynnym bezustannie, konkurował stos, ta straszna pochodnia fanatyzmu, rozpalany co chwile po wszystkich stronach elektoratu.

Lada podejrzenie, nieraz nawet mniej jeszcze, bo lada kaprys, z kart lub gwiazd wyczytany, rzucały pierwszego lepszego obywatela Brandeburgii do

więzienia, oddawały go w ręce kata, który łamał członki kołem, lub wyrwał je obcęgami, aż wreszcie płomień stosu pochłaniały skazanego za trudnienie się czarami.

Władze miejskie, cywilne. przyjmowały udział w tych okrucieństwach.

W r. 1678 dnia 18-go lipca burmistrz wraz z radą miasta Gulnow na Pomorzu, po wysłuchaniu zdania biegłych, uznał i oświadczył, iż Anna Stein, przezwana Stavenhag, zasłużyła na karę spalenia na stosie za utrzymywanie stosunków z dyabłem oraz za praktykowanie sztuki magów.

Wyrok ten wykonano na biednej staruszce zgrzybiałej, wydawszy ją najpierw na tortury najokrutniejsze i wydobywszy z niej przyznanie wszystkiego, czego tylko sędziowie zażądali.

Wstępując na stos Anna Stein odwołać chciała swe zeznania, lecz kat zasłonił jej usta dłonią wołając:

— Nędznicco!.. przecież dziś rano przyznałaś się do twych zbrodni dyabelskich!..

Tortury, choć w zmienionej nieco formie, istniały w Prusach jeszcze w pierwszej połowie wieku zeszłego. Kara cielesna, głód, bezsenność, stosowane były z całą bezwzględnością.

W r. 1800 oskarżono siedmiu ludzi o szereg podpażeń. Ponieważ nie chcieli przyznać się do winy, więc zaczęto ich biczować. Pod razami ulegli i wyznali zbrodnię swą ze wszystkimi szczegółami. Skazano ich na spalenie żywcem. Ułożono stos olbrzymi, podpalono go, nieszczęśliwi wydali ostannie tchnienia w najstraszniejszych męczarniach, gdy nagle na miejsce egzekucyi przybywa postaniec królewski z rozkazem powstrzymania wyroku.

Przypadek wykrył tegoż samego dnia prawdziwych zbrodniarzy; na stosie zginęli niewinni!..

Elektor Fryderyk-Wilhelm zaślubił w r. 1646 Ludwikę-Henrykę księżnę Oranii.

Tak był podówczas biednym, że matka musiała mu pożyczyć 3.000 talarów, bo nie miał czem opłacić kosztów podróży do swej narzeczonej.

Gdy małżeństwo zostało już postanowione, a matka nie miała więcej pieniędzy, elektor ujrzał się zmuszonym zwrócić do sejmu, złożonego podówczas z przedniejszych panów i magnatów, i zażądać od nich 50,000

talarów, „któreby mu pozwoliły ożenić się jak należy.“

Sejm udzielił mu tej sumy bez żadnych zastrzeżeń.

Związek z księżniczką Oranii był bardzo szczęśliwy; cały kraj ubóstwiał ją a następnie oplakiwał szczerze jej śmierć przedwczesną.

Inaczej rzecz się miała z księżniczką Dorotą holsztyńską, drogą żoną elektora.

Ta nigdy nie zdołała zdobyć sobie popularności; przeciwnie: ci, co ją znali, nienawidzili ją skrycie.

Opinia publiczna zapisała na jej rachunek kilka nagłych zgonów, jakie zdarzyły się podówczas w rodzinie Hohenzollernów; podejrywano ją pomiędzy innymi o otrucie następcy tronu, księcia Karola Emila.

Podejrzanie to usprawiedliwia fakt, iż książę Fryderyk, chcąc uniknąć groźb macochy, uciekł z kraju, bał się bowiem, aby go nie spotkał taki sam los, jak starszego jego brata.

O ile zarzuty te są słuszne, przesądzać niepodobna, to jednak pewna, iż księżna Dorota starała się wszelkimi sposobami, po większej części niezbyt szlachetnymi, aby elektor adoptował

czworo jej dzieci, jakie miała z pierwszego swego małżeństwa z księciem brunszwickim.

I to również jest pewnem, iż pomimo oporu Fryderyka-Wilhelma, namawiała go bezustannie aby wydziedziczył księcia Fryderyka na rzecz młodszego brata Ludwika.

Ten ostatni, gdy mu zrobiono propozycję podobną, wprost ją odrzucił, czem jeszcze bardziej wzmocnił opór ojca.

Usilne nalegania księżnej rozbiły się o niezłomną wolę zarówno elektora samego, jak i jego młodszego syna.

Chory, zmęczony temi walkami wewnętrznymi, nieprzynoszącemi żadnego pożytku, elektor przewidywał zbliżający się koniec swego życia.

Pewnego dnia przyzwał do łóża swego wszystkich ministrów, pożegnał ich czule, podziękował im za stania i trudy, przycisnął każdego kolejno do swych piersi i w kilka chwil później rozstał się najspokojniej z tym światem.

Takie było życie tego księcia bojownika a równocześnie administratora znakomitego.

Jedni z historyków wynoszą zasługi jego pod niebiosa, inni odbierają im wszelką wartość; najlepiej, zdaje się, osądził go własny prawnuk, Fryderyk II-gi, pisząc o nim co następuje:

„Fryderyk - Wilhelm posiadał przyrody wrodzone ludzom znakomitym: był wielkoduszny, pobłażliwy, wspinał się a równocześnie ludzki. Stał się odnowicielem i obrońcą potęgi brandeburskiej, sędzią książąt, równych sobie znaczeniem i władzą. Za pomocą małych środków dokonał rzeczy prawdziwie wielkich. Był sam dla siebie pierwszym ministrem i wodzem naczelnym. Potomkom swoim oddał kraj kwitnący, który otrzymał zagrzebany pod ruiną i stosami popiołów.“

* * *

Gdy książę następcą tronu ujął ster rządu, ujrzał się panem kraju zajmującego przestrzeń 1,932-ch mil kwadratowych z ludnością wynoszącą 1,500,000 mieszkańców. Było to 29-go kwietnia r. 1688.

W dzień śmierci dziadka jego Jerzego-Wilhelma, elektorat miał zale-

dwie 1,300 mil kwadratowych przestrzeni i 800,000 ludności.

Cyfry powyższe najlepiej dowodzą znaczenia podbojów a następnie rządów Wielkiego elektora.

Powiadają w Niemczech, iż Ludwik XIV namawiał usilnie Fryderyka-Wilhelma, aby się ogłosił królem. Nie jest to bardzo prawdopodobne, a jednak podanie takie silnie się zakorzeniło.

Jeżeli tak było istotnie, to znaczy, że Wielki elektor odrzucił propozycję króla francuzów. Miał słuszność najzupełniejszą.

Innego atoli zdania był syn jego elektor Fryderyk III-ci, który z biegiem okoliczności został następnie Fryderykiem I-ym. Panowanie jego streścić można w następujących krótkich słowach: chciał być królem i został królem.

W młodych już latach kochał się w przepychu i okazałości. Przyroda nie była dlań łaskawą: twarz miał brzydką, a skutkiem nieostrości nianki, która upuściła go na ziemię gdy miał zaledwie kilkanaście miesięcy, był nieco garbatym.

Wady te starał się od lat najmłodszych pokryć pozorami zewnętrznymi.

Mając lat dziesięć ustanowił, bawiąc się, order wspaniałości (Orden der Majestät). Ojciec przyglądał się z uśmiechem pobłażania, jak syn jego przyozdabiał poważnie i uroczyście zabawką swą pierwszych dygnitarzy państwa.

Doszedłszy do lat siedemnastu, prosił króla angielskiego o podarowanie mu oznak orderu Podwiązki. Prośbę tę poparł nawet wielki elektor, który nie mógł się oprzeć żądaniom syna swego i zawsze powodował się jego kaprysami.

Karol II-gi król angielski odmówił prośbom następcy tronu elektorskiego. Od tego dnia Fryderyk poprzysiął nienawiść Anglii i zachował ją do końca życia.

Na dziwną ironię losu wygląda wobec wszystkiego fakt, iż Wielki elektor umierając, starszemu synowi swemu pozostawił w spadku jedynie elektoraty, resztę zaś krajów, jako to: Prusy, Pomorze, Śląsk i inne, rozdzielił pomiędzy resztę swych dzieci.

Nie liczył się widać z dumą i pychą młodego księcia.

Po śmierci ojca Fryderyk złamał jego ostatnią wolę, zagarnął dziedzinę swych braci, nie pytając wcale, czy się na to zgadzają, a dając im w zamian odpowiednie tytuły, godności i pensje.

W ten sposób objął w posiadanie cały kraj ojcowski. Wkrótce jednak stracił jedną z jego części, przez co naraził potomków swoich na wojny długie i krwawe.

Jako następca tronu, chcąc zjednać sobie łaski cesarza, Fryderyk przyrzekł przywrócić Austrii okęg Schwiebus po śmierci swojego ojca.

Dopóki trwał spór pomiędzy spadkobiercami Fryderyka Wilhelma, Austria nie odzywała się ani słowa. Gdy jednak bracia się pogodzili i rzekli udziałów swoich na korzyść najstarszego, cesarz zażądał natychmiast spełnienia dawniejszych zobowiązań.

Elektor oparł się na chwilę; chciał rozstrzygnąć kwestyę na polu bitwy, dość wczesnie jednak spostrzegł się, iż armia jego zbyt jest małą i niewyćwiczoną w porównaniu z armią cesarską.

Musiał ustąpić i dotrzymać słowa danego.

Chcąc jednak wyraźnie zaznaczyć, iż ustępuje tylko przed siłą, napisał do cesarza: „Spełniam życzenie waszej cesarskiej mości, gdyż jestem zmuszony do tego najrozmaitszymi okolicznościami, a głównie własnym moim pozostawiam swobodę dochodzenia praw naszych do księstw szląskich, jakie obecnie waszej cesarskiej mości ustępuje.“

W sześćdziesiąt lat później Fryderyk II-gi uznał list ów za weksel, który należy zainkasować z odpowiednim procentem.

Wielki elektor zalecił synowi swemu opiekę nad protestantami, oraz utrzymywanie związków przyjaznych z Wilhelmem III-cim Orańskim, który dopiero co zrzucił z tronu angielskiego dynastję Stuartów.

Od pierwszych zaraz dni panowania jego Marchia brandeburska stała się przytuliskiem dla protestantów Europy całej.

Przybywali oni z Francji, Szwajcaryi, Palatynatu, a ten napływ sił nowych, świeżych, działał ożywczo na kraj młody, niby krew świeża, krążąca w jego żyłach.

Co do związków przyjaznych z Wilhelmem, Fryderyk spełnił wolę ojcowską w ten sposób, iż posłał monarsze temu korpus wojska, złożony z sześciu tysięcy ludzi.

Przekonany następnie, iż spełnił już swój obowiązek, spoczął na laurach, które, co prawda, niewiele go kosztowały, lecz za to zjednały mu przyjaciela króla francuskiego, protektora Jakóba II-go Stuarta, a zaciętego nieprzyjaciela Wilhelma Orańskiego.

Prusy wojowały wówczas wszędzie potrosze, nie zyskując jednak nigdzie ani sławy, ani korzyści.

Armia Fryderyka, jakkolwiek stosunkowo bardzo liczna, nędznie jednak była utrzymywana.

Elektor zwiększył ją do 50,000 ludzi, pozostających pod wodzą 40-tu generałów. Uczynił to jednak głównie dla blasku zewnętrznego.

Dziwna to była armia. Przypadek wyjątkowy i jedyny w historii: żołnierze Fryderyka nie tylko nie go nie kosztowali, lecz przynosili mu dochody. Za ubranie ich, mieszkanie i utrzymanie płaciły rozmaite kraje, elektor zaś korzystał z tych opłat, zabierając

część ich dla siebie. Wynagrodzenie liczył sobie stosownie do ilości ludzi.

Łatwo wyobrazić sobie można jaką karność i moralność panowała w armii urządzonej w sposób podobny i nie należy dziwić się wyrażeniu jednego z historyków współczesnych, który napisał wyraźnie: „za naszych czasów żołnierz znaczy to samo co złodziej!”

Fryderyk wynajmował pułki swoje detalicznie; każdy za odpowiednią opłatę mógł je kupić, ile tylko zażądał.

Czegożby zresztą elektor nie sprzedał, byle tylko mógł utrzymać przepych i zbytek, jakim tak chętnie się otaczał..

Chcąc zdwoić cyfrę swych dochodów, nieraz dzień i noc przemyślał, czy też jest jeszcze jakikolwiek przedmiot, któryby można obłożyć podatkiem.

Ludność cała płaciła podatek nie tylko „od głowy,” ale i od peruki, co tę głowę zdobiła.

Opłata za prawo noszenia peruki dochodziła do stu talarów, a prawo to musiał posiadać każdy szlachcic i mieszczanin, bez wyjątku; nie tylko bowiem

nie wpuszczono nikogo na dwór elektorski, kto głowy swej nie okrył peruką, lecz nawet nie było wolno wyjść bez niej na ulicę.

Ówczesne wysokie czepki kobiet również były opodatkowane i to dosyć wysoko; podatek płacono za każdą sztukę ubrania, z wyjątkiem starzyzny przywiezionej z zagranicy i obuwia dla dzieci do lat trzech. Pończochy, kapelusze, laski, tabakierki nawet, chustki do nosa: wszystko to ulegało opodatkowaniu.

Wyrób szczonek był monopolem państwowym i nikomu nie było wolno strzydz wieprzy, tylko urzędnikom skarbowym.

Produkty spożywcze wszystkie bez wyjątku były opodatkowane; nie dość jednak na tem, że np. kupiec płacił podatek od herbaty i czekolady, ale za prawo nabywania tejże herbaty i czekolady każdy musiał zapłacić dwa talary rocznie.

Należałoby przypuszczać i to najzupełniej słusznie, iż system podobny przynosił skarbowi znaczne dochody; Fryderyk atoli nie zadawał się tem wcale i chwycił się innych jeszcze sposobów, praktykowanych przez swo-

ich poprzedników: idąc śladem ojca, fałszował monety, tylko na skalę o wiele szerszą. Tak samo jak Fryderyk Wilhelm, sprowadził na dwór swój alchemika, który twierdził, iż posiada „kamień filozoficzny,” a z nim sposób wyrabiania złota. Był to niejaki Domenico Gaetano, hrabia di Ruggiero.

Szarlatan ten chętnie się sztuką swoją i rzeczywiście zdołał na razie oszukać elektora, zamieniając w oczach jego sztabę miedzi w sztukę złota. Rzecz naturalna, iż dokonał tego jedynie za pomocą zręczności swych palców. Pomimo to jednak dostał od elektora w nagrodę guziki brylantowe i tytuł generał-majora.

Późniejsze próby jakoś mu się już nie udawały, wytoczono mu więc proces o oszustwo i ostatecznie powieszono go na szubienicy poślacanej.

Za chwilę przyjemnego złudzenia, jakie sprawił elektorowi, należało mu się to odznaczenie.

Następnie przyszła kolej — zupełnie tak samo, jak i dawniej — na żydów. Zamiast ich atoli prześladować, Fryderyk ściągał ich do swego kraju. Jednego z nich, niejakiego Liebmann, mianował swym skarbnikiem. Ten do-

starczał elektorowi sum wymaganych, a w zamian żądał tylko ulg i łask dla swoich współwyznawców.

Od tego czasu żydzi byli w Berlinie jak u siebie w domu. Najpierw pozwolono im wystawić jedną synagogę, potem drugą, trzecią, czwartą... i wnet Berlin stał się podobnym do dawnej Jerozolimy.

Dzięki tym wszystkim sposobom, Fryderyk mógł zadowolić swą żądzę zbytku i blasku.

Chociaż z całej duszy nienawidził króla francuskiego, który nie chciał nigdy traktować elektora jako równego sobie, pomimo to jednak małpował go na każdym prawie kroku.

Poczdąm przypominał wyglądem swoim Wersal, a w chwili gdy elektor brandeburski ogłoszony został królem pruskim, przypuszczał, iż co najmniej jest drugim Ludwikiem XIV-ym.

W Paryżu wiedziano o jego staraniach i uważano je za śmieszne, a zarazem zuchwałe. Bawiono się kosztem elektora, któremu gwałtem zachciało się zostać królem.

Fryderyk nie zważał jednak na te śmiechy i szyderstwa: ambitny a wytrwały chwycił się wszelkich sposo-

bów, aby tylko marzenia swoje urzeczywistnić.

Niełatwa to była sprawa; tytuły królewskie oddawna zostały skasowane i nie było najmniejszego powodu, aby powracać do zamierzchłej już przeszłości.

Decyzja ostateczna zależała w tym względzie od cesarza, on jeden bowiem rozdawać mógł na wzór swych przodków korony królewskie. Ówczesny cesarz Leopold posiadał również tę samą zasadę i odmówił Fryderykowi swego zezwolenia.

Margrabia dowodził zupełnie zresztą słusznie, iż Prusy, których był władzą, nie mają nic wspólnego z Niemcami, ani też nie są zależne od cesarstwa niemieckiego, nie zatem nie przeszkadza, aby księżę pruski mianowany był królem pruskim, przyczem mógłby pozostać jak dawniej elektorem niemieckim jako margrabia brandeburski.

Pierwsze układy w tym kierunku prowadził w Wiedniu hrabia Dohna, specjalny w tej kwestyi poseł elektora; wszelkie jednak starania jego, nie osiągnęły najmniejszego skutku.

Fryderyk uderzał kilkakrotnie, chciał ponosić różne ofiary... daremnie!.. I może nie udało mu się nigdy przyozdobić skroni swych dyademem królewskim, gdyby nie przypadek, ten wierny pomocnik ludzi śmiałych i odważnych.

Niktby nie dał temu wiary, że Fryderyk Hohenzollern, elektor brandeburski, księżę nawskroś protestancki, wróg zacięty kleru katolickiego, księżom zawdzięczał swą koronę i to w dodatku jezuitom!..

Faktem to jednak niezaprzeczonem, jak również faktem i to, że marzenia Fryderyka w czyn się przyoblekły, skutkiem jednej małej pomyłki, skutkiem jednego fałszywego pociągnięcia piórem.

Oto jak się sprawa ta przedstawia szczegółowo:

Chcąc utrzymać korespondencję swą w tajemnicy, księżę i poseł jego w Wiedniu posługiwali się znakami sekretnymi z cyfr ułożonemi. Każde nazwisko oznaczone było inną liczbą: elektor ukrywał się pod cyfrą 24, cesarz Leopold figurował jako 110, na samym zaś końcu długiej listy pod 116

zanotowany był spowiednik Jego cesarskiej mości, jezuita Wolf.

Czczegodny ów Ojciec znajdował się podówczas właśnie w Berlinie, gdzie pełnił obowiązki kapelana w pałacu ambasadora cesarskiego. Nikomu jednak nawet przez myśl nie przeszło, aby ks. Wolfa — prawdziwe jego nazwisko było baron von Ludwigshausen — wtajemniczyć w przebieg układów z cesarzem, a tembardziej żądać jego pośrednictwa.

Otóż zdarzyło się, że w chwili, gdy gra cała wydała się już przegraną, hrabia Dohna napisał do elektora list owemi sekretnymi znakami, aby zwrócił się wprost bezpośrednio do cesarza. Miał to być ostatni, chociaż wątpliwy ratunek. Pisząc szybko cyfrę 110, napisał niewyraźnie, tak iż podobniejszą była raczej do 116, a margrabia zrozumiął, iż chodzi tu o księdza Wolfa.

Myśli tej uchwycił się jak ostatniej deski zbawienia i bez wahania złożył wizytę spowiednikowi Jego cesarskiej mości.

Łatwo wyobrazić sobie można zdziwienie tego ostatniego, gdy dowiedział się o całej sprawie. Pochlebiało mu

to nieskończenie, tak samo jak i całemu zakonowi, do którego margrabia brandeburski zwrócił się w kwestyi tak drażliwej i delikatnej. Ksiądz Wolf udał się bezzwłocznie do generała swego zakonu, porozumiał się z nim, zyskał jego przyzwolenie.

Wnet poruszono wszystkie sprężyny, jakimi zakon jezuitów podówczas rozporządzał, a musiały one być potężne, jeżeli elektor Fryderyk uzyskał w przeciągu sześciu tygodni to, o co przez lat dwanaście starał się daremnie.

Dnia 16-go listopada 1700 roku, cesarz nadał tytuł królestwa księstwu pruskiemu.

Marzenie wypieszczone przez całe życie Fryderyka zostało tedy spełnione. Ileż jednak ono kosztowało!..

Przedewszystkiem pierwszym warunkiem było oświadczenie się przeciwko Francji.

Wszystkie długi, jakie cesarzowie kiedykolwiek zaciągnęli u elektorów, zostały umorzono.

Fryderyk zobowiązał się: dostarczyć i utrzymać własnym kosztem dziesięć tysięcy żołnierzy na wojnę sukcesyjną; we wszystkich sprawach dotyczą-

cych cesarstwa głosować z Leopoldem, oraz na przyszłych wyborach głos swój oddać jedynie za księciem austriackim.

Zdziwienie zapanowało w Europie całej, gdy dowiedziano się o postanowieniu cesarza i o nominacji nowego króla.

Pomimo to jednak wszyscy monarchowie uznali tę nominację za wyjątkiem Ludwika XIV-go, Michała Korybuta, papieża Klemensa IX-go oraz wielkiego mistrza zakonu teutońskiego.

Wszyscy książęta niemieccy dali swe zezwolenie, lecz z pewnemi zastrzeżeniami, czuli się bowiem obrażonymi i upokorzonymi, iż najmłodszy z nich najwyższą piastować ma godność.

Otoczenie cesarza Leopolda ganiło głośno krok ten nierozważny i sarkano na słabość swego władcy.

Książę Eugeniusz sabaudzki oświadczył głośno i otwarcie, iż cesarz powinien był kazać powiesić tego, kto mu pierwszy myśl podobną podsunął.

Klemens IX-ty protestował wszelkimi siłami i nie chciał uznać faktu

dokonanego, gdyż jak twierdził: religia katolicka nie miała wrogów większych niż margrabiowie Brandeburcji, nieprawi posiadacze Prus, które przodkowie ich zagrabili zakonowi teutońskiemu.

Dwór rzymski uznał istotnie królestwo pruskie dopiero w r. 1786.

I w rodzinie swej Fryderyk znalazł przeciwników, czego chyba najmniej się spodziewał.

Nawet wnuk jego Fryderyk II-gi ganił go później, że nabył godność królewską za cenę ustępstw poniżających; dowodził, że dziadkowi jego nie rozchodziło się o dobro kraju lub rodziny, lecz o pozór zewnętrzny, o możliwość rozwinięcia jak największego zbytku i przepychu. Ponieważ jednak zdobywca Szląska osiągał bądź co bądź z tego powodu pewne korzyści, poskramiał więc o ile możności sąd swój i wyraził go w słowach następujących:

„To co wzięło początek swój w pyrze i próżności, stało się następnie doniosłym aktem politycznym. Tytuł królewski uwolnił dom Brandeburski z jarzma służalczego, w jakim Austria trzymała podówczas wszystkie

państwa niemieckie. Była to niejako ponęta; Fryderyk rzucił ją swym potomkom, mówiąc: „zdobyłem dla was tytuł! Okażcie się godnymi tej korony, którą dla was kupilem! Położyłem podstawy pod przyszłą waszą świetność, do was należy ukończenie tego dzieła.“

* * *

Fryderyk otrzymawszy nominację królewską, nie znał już granic przepychu i okazałości. Jako miejsce koronacji nowego monarchy naznaczono Królewiec, elektor bowiem został królem na ówczesnych księstwach pruskich: wschodniem i zachodniem.

Błędem też jest upowszechnionym obecnie nadawanie tytułu królestwa pruskiego wszystkim krajom należącym do Hohenzollernów. Berlin pozostał na zawsze stolicą Brandeburgii, Królewiec zaś do dnia dzisiejszego jest stolicą Prus właściwych.

Dwór cały udał się tedy do Królewca, orszak to był liczny; powozy szły jedne za drugimi łańcuchem długim na mil kilka; 6,000 koni użyto do zaprzęgu karet oraz pod wierzch dla jeźdźców.

Król przybrany był w zwykły strój z aksamitu fioletowego, tak, jak wyobrażony jest na portrecie w muzeum Hohenzollernów.

Do stroju tego na uroczystość koronacyjną kazał przypiąć guziki brylantowe, w których każdy kosztował trzy tysiące dukatów.

W Królewcu samym rozwinięto przepych, o jakim najbujniejsza wyobraźnia nie może mieć pojęcia.

W przeddzień koronacji król ustanowił order Orła Czarnego, z dewizą „Suum quique,“ a przy sposobności wznowił dawny Order Majestatu, zabawkę z lat dziecińczych.

Oznaki nowego orderu rozdano w obszernej sali zamku odpowiednio udekorowanej i zamienionej na kapi tułę.

Największą wystawność, nieznaną nawet na koronacjach cesarskich we Frankfurcie, ujrzyć można było w katedrze królewieckiej, dokąd przesłano cały prawie skarbiec elektorski i wystawiono na widok publiczny.

Nareszcie odbyła się uroczystość właściwa.

Fryderyk urządził w chwili najważniejszej efekt prawdziwie teatralny,

później często powtarzany, podówczas jednak nieznanym jeszcze a zatem głębokie sprawiający wrażenie pomiędzy widzami. A stało się to w sposób następujący:

Na stopniach ołtarza klęczał elektor, drobny, szczupły, garbaty, z podkręconemi w górę wąsikami, na wzór Ludwika XIV-go.

Głowa jego ginęła wśród pukli olbrzymiej peruki oraz w kołnierzu gronostajowym zdobitym płaszczem purpurowym.

W chwili gdy dwaj biskupi mieli mu włożyć koronę na głowę. Fryderyk zerwał się, ujął ją w ręce i sam przyozdobił nią swe czoło.

Miało to być oznaką, iż władzę swą zawdzięcza sam sobie, nie żadnej łasce ziemskiej lub duchowej.

Napoleon I w sto lat później to samo uczynił.

Koronacja pierwszego króla pruskiego odbyła się dnia 18-go stycznia 1701 roku.

Dnia 6-go maja Fryderyk I-y, tak go bowiem od tej chwili wraz z historią nazywać będziemy, odbył uroczysty wjazd do Berlina.

Od tego dnia w stolicy nadsprejskiej zaczęły się zabawy i widowiska i trwały nieustannie.

Dla ludu kazał król urządzić w pobliżu bramy lipskiej olbrzymią arenę, gdzie walczyły dzikie zwierzęta. Lud gromadził się tłumnie, przyglądał się tym scenom niezwykłym i wył wraz z niedźwiedziami, wilkami i innymi zwierzętami; on z radości, one z gniewu i rozpacz.

Kazał potem zbudować wieżę 500 stóp wysoką; niestety, budynek cały runął zanim wyciągnięto go do połowy i przygniótł ciężarem swym mnóstwo robotników.

W różnych stronach miasta kazał pootwierać rozmaite teatry, ogrody, miejsca do zabaw publicznych, gdzie zbiegali się akrobaci, błazny i t. p. z całego świata. Żywiły te wkrótce zapuściły głęboko swe korzenie i w niedalekiej przyszłości wydały plon obfity.

Z owych to czasów pochodzą nazwy „Spitzbub,” i „Gauener,” nadawane przez berlińczyków ulicznikom podmiejskim i ludziom wątpliwej wartości.

Na dworze rozwinięto zbytek niesłychany, graniczący z rozrzutnością i marnotrawstwem.

Salie zamkowe przepełnione ozdobami niezbyt dobrze świadczącymi o guscie ówczesnym.

Niektóre z sal owych do dnia dzisiejszego pozostały nietknięte. Na ścianach widać portrety dam, przybranych w strój uroczystry i zapalających fajki generałom w mundurach lśniących od złota.

Liczba służby pałacowej była niezliczona, po przedpokojach snuły się tłumy marszałków, szambelanów, paziów i t. d.

Straż trzymali żołnierze w kostymach wschodnich, złotem szamerowanych.

Gdy król siadał do stołu, dwudziestu czterech trębaczy i dwóch tułumbasistów powiadamiało o ważnym tym wypadku miasto całe, trąbiąc i bębniąc na najwyższej wzniesionym balkonie pałacowym.

Do szczęścia Fryderykowi I-mu brakowało tylko wizyty jakiego monarchy obcego; wkrótce i temu jego życzeniu stało się zadość.

Król pruski omal nie umarł z radości, dowiedziawszy się, że cesarz Piotr Wielki zamierza przybyć do Berlina.

Monarchę Rosyi postanowiono przyjąć z największą okazałością; na uroczystość tak wielką król otworzył swe skarbnice i kazał czerpać z nich obficie niż przy innej jakiegokolwiek sposobności.

Wezwano ludność z okolicy w promieniu mil dwudziestu; wojsko przybrano w nowe mundury.

Przy bramie od strony drogi, którą cesarz miał przyjechać, ustawiła się cała municypalność w kostymach czerwonych; na watach czekała artylerya gotowa do strzałów, które miały się rozleźć w chwili wjazdu monarchy. Dzwonnicy czekali na wieżach odpowiedniego sygnału, aby głosem dzwonów obwieścić stolicy chwilę tak uroczystą.

Cesarz Piotr Wielki, dowiedziawszy się o tych wszystkich przygotowaniach, objechał Berlin w małym powoziku i wjechał do miasta inną bramą, nie zauważony przez nikogo, poczem udał się wprost do ambasady rosyjskiej, przebrał się w mundur ga-

lowy, najzupełniej incognito zajechał przed pałac i kazał zaanonsować swe przybycie królowi.

Fryderyk I-y, ujrawszy tak niespodzianie gościa swego, omal nie runął, jak jego wieża 500 stóp wysoka.

Cały efekt stracony!.. Lud daremnie wyczekiwał przez kilkanaście godzin!.. Jedynym nadwołaniem króla było, iż kazał zatychmiast strzelać z dział i bić w dzwony.

Berlińczycy tymczasem cisnęli się i wytrzeszczali oczy, by dojrzeć monarchę Rosyi. Daremnie!.. nie widzieli go wcale.

Zawód doznany zmartwił Fryderyka bardzo, pocieszał się też jak mógł, urządzając uroczystości za lada powodem.

Nie ominął najmniejszej sposobności następczającej się do urzędzenia zabawy: urodziny księcia, zgromadzenie stanów, małżeństwo w rodzinie, a nawet śmierć. Z tej właśnie okazji odezwała się raz królowa Zofia Szarlotta, gdy jej wspomniano o rozpaczach króla, gdyby umarła!..

— O!.. jestem o to najzupełniej spokojną. Przygotowania do wspaniałego pogrzebu rozproszą jego troskę.

Byleby tylko nie zmartwił się niedokładnem wykonaniem jego rozporządzeń, o resztę mniejsza!..

* * *

Zofia Szarlotta, córka elektora hanowerskiego, oddana była całą studjom naukowym i filozofii. Śladem jej poszło wiele monarchii pruskich, a ostatnio i cesarzowa Augusta.

Była ona przyjaciółką i protektorką Leibnitza, z którym utrzymywała stałą korespondencję.

Gardząca rzeczami ziemskimi, tytułami i godnościami, nie mogła wybaczyć mężowi swemu starań o pozyskanie korony królewskiej; gdy dowiedziała się dnia pewnego, że elektor saski August zmienił religię i wystąpił przeciwko księciu Conti, synowi Wielkiego Kondeusza, jako kandydat do tronu królewskiego w kraju sąsiednim, tak się tem zmartwiła, jak pisze Saint-Simon, „tak wielkiej doznała boleści, iż położyła się do łóżka i... powiła syna przedwcześnie!..“

W życiu codziennem królowa również była nieprzyjaciółką wszelkiego zbytku i okazałości,

Pragnęła mieć gdzieś domek na ubo-
czu, samotny, w którymby mogła od-
dać się ulubionemu swemu zajęciu, to
jest filozofii. Życzenie to objawiła Fry-
derykowi. Dogadzając jej chęciom, król
wzniósł nie domek wprawdzie, lecz
pałac wspaniały, zwany Charlottenbur-
giem.

Królowa już go nie ujrzała, umarła
bowiem przed ukończeniem budowy.

— Poznam nareszcie — mówiła w
ostatniej chwili życia—pierwszą przy-
czynę przestrzeni i czasu, której mi
pan Leibnitz nie mógł nigdy jasno wy-
tłómaczyć.

Fryderyk I-szy pomimo olbrzymiej
różnicy pojęć i usposobień, kochał bar-
dzo swą żonę, nie mógł jednak zy-
skać wzajemności.

Po śmierci jej, pocieszył się prędko,
jak to słusznie królowa przepowie-
działa.

Wkrótce nawiązano układy z dwo-
rem nassauskim, którego księżniczkę
Fryderyk chciał pojąć za żonę. Ukła-
dy te atoli spełżyły na niczem, ponie-
waż król postawił warunek konieczny,
aby w czasie ślubu księżna matka nio-
sła tren sukni przyszłej królowej pru-
skiej.

Następnie dyplomacya berlińska zwró-
ciła się do księżniczki Zofii Ludwika
Meklemburg-Grabow; ta nie miała
matki, więc też bez przeszkody sta-
nęła na ślubnym kobiercu.

Gdy szła do ołtarza, płaszcz jej
podtrzymywały cztery księżniczki, a tren
od sukni sześć hrabianek.

O przepychu z jakim Fryderyk wy-
stąpił przy tej sposobności, łatwo mieć
pojęcie, wnosząc z tego, co się dawniej
już działo. Tym razem jednak król
był naprawdę zasmucony: jakieś nie-
szczęście go prześladowało; druga żo-
na jeszcze bardziej nienawidziła wszel-
kich ceremonij i etykiety, aniżeli nie-
boszczka.

Była to kobieta nabożna aż do prze-
sady, nic więc dziwnego, iż życie sta-
ło się dla niej nieznośnem na dworze,
gdzie wszyscy myśleli jedynie o zaba-
wie.

Inny zresztą jeszcze powód niezgo-
dy wkraśl się pomiędzy małżonków:
Fryderyk, chcąc na każdym kroku stać
się podobnym Ludwikowi XIV-mu, są-
dził, że idąc jego śladem, koniecznie
musi mieć ulubienicę. Było to jeszcze
za życia królowej Zofii Szarlotty.

Królowej nie chodziło wcale o to, czy ulubienica owa będzie istotnie ulubienicą jego serca, sądziłby nawet można przeciwnie; w gronie bowiem swych przyjaciół król zapewnił, iż nie byłby w stanie złamać przysięgi danej na wierność małżeńską; szło tylko poprostu o zasadę: Ludwik XIV miał ulubienicę, Fryderyk I-y musiał ją mieć także.

No i znalazł ją sobie. Pewnego dnia, idąc wciąż śladem króla francuskiego, przedstawił ją na dworze. Była to hrabina Wartenberg, żona pierwszego ministra.

Ani młoda, ani ładna, ani dowcipna, ani nawet dobrze wychowana, nie umiała nawet dobrze mówić po francusku, a jedynie tym tylko językiem mówiono na dworze berlińskim.

Królowa Zofia Szarlotta odezwała się do niej pierwsza w czasie ceremonii przedstawienia. Hrabina Wartenberg nie zrozumiała królowej i wprowadziła ją tym sposobem w przykre położenie, z którego dopiero jeden z dworzaków ją uwolnił.

Pomimo te wady, hrabina przy pomocy męża i swojego znów ulubieńca niejakiemu Wittensteina, wywieriała

wpływ wielki na bieg spraw państwowych.

Łatwo domysleć się można, iż trójka ta niezbyt uczciwych chwytła się sposobów; intrygi zapanowały na dworze królewskim.

Ludzie, którym istotnie szło o dobro kraju i korony, patrzyli oburzeni na to wszystko, co się w ich oczach działo.

Związek Wartenbergów i Wittensteina nazywano ministeryum trojaka W.; gniewano się, sarkano, królowi nie można było nic powiedzieć, coby dotykało ulubienicę jego, natychmiast bowiem,—zawsze na wzór Ludwika XIV-go,—strasznym unosił się gniewem.

Królowa Zofia-Szarlotta zносиła filozoficznie obecność hrabiny Wartenberg, o której w gronie swych przyjaciół zaufanych odzywała się jak o awarturnicy.

Inaczej rzecz się miała z królową Zofią-Ludwiką; wkrótce też po jej przybyciu do Berlina skończyło się panowanie trojaka W.

Podczas wdowieństwa Fryderyka hrabina Wartenberg wraz z godnym małżonkiem swoim byli wszechmocnymi.

Hrabia miał przewagę nad książętami krwi, a żona jego nad księżniczkami.

Pewnego wieczora hrabina pokłóciła się z hrabiną Cintto, żoną ambasadora holenderskiego, którą brutalnie znieważyla.

Posypały się skargi do króla, lecz Wartenberg wyszła z tej awantury zwycięsko, więc дума jej doszła do rozmiarów niebываłych.

Zdarzyło się, iż król wyjechał na dni kilka na polowanie w sąsiednie okolice.

W tymże samym czasie królowa zaprosiła do siebie wszystkie damy dworskie, pomiędzy którymi, naturalnie, i Wartenberg się znajdowała.

Nagle ze zdziwieniem ujrzano niezgrabnego lokaja hrabiny, wnoszącego na tacy filiżankę kawy. Podszedł on do swej pani i podał jej napój żądany.

Królowa oburzyła się wielce tym krokiem nietaktownym i w słowach o ile możliwości grzecznych nakazała jej opuścić zgromadzenie.

Na rozkaz ten hrabina roześmiała się impertynencko w nos monarchini:

— Mnie i tu dobrze!.. — odrzekła.

Tego za dużo już było królowej.

— Wyrzućcie tę nędznicę przez okno!..—zawołała Zofia-Ludwika.

Nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca, a królowa płacząc ze złości i poniżenia, zmuszona była sama wyjść z salonu.

Gdy król powrócił, królowa Zofia-Ludwika opowiedziała mu całą tę scenę.

Obraza żony dotknęła zbyt żywo Fryderyka. Oburzony, wygnał natychmiast z kraju Wartenberga, żonę jego i Wittensteina.

W ten sposób skończyło się panowanie trojga W.

Hrabina wyjechała do Paryża i tam przez resztę życia rozmyślała nad niestosownością żądania filiżanki kawy, jeśli nikt jej nie ofiaruje.

Historja wspomina o księżnej Hohenzollern z linii młodszej, której jakoby król składał hołdy swoje i darzył ją blizką przyjaźnią. Trudno temu uwierzyć. Zresztą gdyby tak było, księżna palatyńska, druga żona brata Ludwika XIV-go byłaby w listach swych wspomniła o tym fakcie.

Znała ona wybornie cały dwór berliński i wiedziała doskonale, co się na nim działo, a nie oszczędzała nikogo, przedewszystkiem zaś rodziny królew-

skiej, którą nazywała rodziną parweniuszów.

Co do owej wspomnianej księżniczki Hohenzollern, księżna palatyńska pisała do przyjaciółki swej landgrafowej Amelii Elżbiety:

„Powiadają, że jest bardzo ładna... nie zdaje mi się... Jest to jedna z tych piękności, którym płaci się dużo, gdy są młode, lecz które za to zmuszone są płacić same, gdy cokolwiek postarzeją.“

Po odjeździe hrabiny Wartenberg królowa stała się jeszcze bardziej nabożną, melancholijną, nerwową, aż wreszcie zupełnie rozum straciła.

Równocześnie prawie i król zachorował i to tak bardzo, iż obawiano się o jego życie, a nie chcąc narażać go na wzruszenia, ukrywano przed nim prawdziwy stan zdrowia królowej.

Pewnego dnia królowa, rozdrażniona bardziej niż zwykle, wymknęła się w jednej tylko koszuli z mieszkania, w którym strzeżono ją z oddali, i przebiegłszy przez kilka galeryj, wpadła do komnaty, w której spoczywał Fryderyk w śnie pogrążony.

Weszła przez drzwi szklane, lecz

nie otwierała ich, ale rozbiła szyby uderzając w nie głową i piersiami.

Król zbudzony nagle dźwiękiem szkła upadającego, zerwał się i z przerażeniem ujrzał przed sobą kobietę w biele, zakrwawioną. Nie poznał jej.

Królowa przypadła do Fryderyka i padając na kolana, chwyciła go wpół rękami.

W tej samej chwili wbiegli do komnaty królewskiej oficerowie trzymający straż w sąsiednich pokojach i uwolnili króla z objęć własnej małżonki.

Fryderyk dostał w tej chwili strasznej gorączki.

— Widziałem Białą damę — wołał majacząc — jestem zgubiony!..

I rzeczywiście umarł nazajutrz.

Księżna palatyńska w kilka dni później wyjechała do Paryża i opowiedziała fakt ten Ludwikowi XIV.

W jednym z listów do księżnej hanowerskiej pisze ona:

„Jego królewska mość raczył mi powiedzieć, iż nie przybierze żałoby po śmierci tak zwanego króla pruskiego, po pierwsze, iż króla tego nigdy nie uznawał, po drugie zaś, że z rodziną Hohenzollernów w żadnym, na-

wet najdalszym nie pozostaje związku pokrewnym. Jego królewska mość pytał mnie, czy to prawda, iż królowa Zofia Ludwika omal nie udusiła małżonka swego w przystępie obłędu. Musiałam opowiadać królowi cały wypadek ów szczegółowo.“

* * *

Historyk Gallus, piszący o Hohenzollernach bardzo pochlebnie, kreśli następujący portret pierwszego króla pruskiego:

„Fryderyk był człowiekiem słabego ciała i słabego ducha. W umyśle jego nie powstała nigdy żadna myśl szlachetna, a jeśli mu ją kto z otoczenia jego podsunął, król nie potrafił jej wykonać. Charakter to był mierny. Kobiety i kurtyzany wszelkiego rodzaju rządziły na dworze, a przybywający nań z interesem odsyłany był i przeczucany z rąk do rąk jak piłka. Wśród otoczenia królewskiego panowały: intryga, niewiara i pochlebstwo. Wszelkiego rodzaju zbrodnie rżbiły tam swe namioty. Król sam był próżnym do najwyższego stopnia; w sercu jego zalegały: pustka, niepokój, nuda. Chciał

być wielkim a był w istocie małym. Pędził życie swe wśród zabaw i radości, gdy kraj cały łyż ronił. Ludzie ucziwi i zacni siedzieli w więzieniach, intryganci zaś, wampiry wysysające krew narodu, dzierżyli ster rządów. Nigdy żart nie był bardziej gorzkim, nigdy epigram bardziej złośliwym, jak w chwili gdy monarsze temu nadano przydomki: „wielki“ i „mądry.“

Fryderyk II-gi oszczędny zarówno w wydatkach jak i w słowach, określił dziadka swego następującem zdaniem: „Był to monarcha wielki w małostkach a mały w prawdziwie wielkich rzeczach.“

Jak wszyscy Hohenzollernowie Fryderyk miał wrodzoną żyłkę do powiększania swych posiadłości.

Bez walki, na drodze jedynie małżeństwa, lub kupna za gotówkę, wcielił do Brandeburgii księstwa Moers i Neufchatel, hrabstwa Lingen i Teklenburg oraz wolne miasto Nordhausen ze słynnymi fabrykami „schnapsa“, spożywanego w wielkiej ilości w Prusach całych.

Gdy Fryderyk oddał tchnienie ostatnie, syn jego wyszedł z komnaty zmar-

łego, ocierając łzy spływające mu po twarzy, i zataczając się pod ciężarem bólu niezmiernego.

Nie zwrócił wcale uwagi na dworzan, co pełni obawy cisnęli się dookoła niego.

Czy król już umarł, czy też następca tronu wyszedł, nie mogąc znieść widoku cierpień konającego?

Wkrótce dowiedziano się całej prawdy.

Po kilku minutach młody książę, wróciwszy do przytomności w swym gabinecie i odzyskawszy siły, kazał przywołać wielkiego mistrza ceremonii von Trettau.

Przedewszystkiem zażądał, aby mu przedstawiono listę dworzan.

Wielki mistrz spełnił żądanie Fryderyka-Wilhelma i podał mu wykaz wszystkich osób należących do dworu, zaczawszy od najwyższych dygnitarzy, a skończywszy na ostatnim z lokajów.

Książę wziął ją w rękę, położył na stole, i nie raczywszy nawet spojrzeć na nią, przekreślił wszystkie znajdujące się na niej nazwiska dwoma pociągnięciami pióra, poczem zwrócił ją wielkiemu mistrzowi.

Von Trettau skłonił się i wyszedł do przedpokoju, gdzie nań czekali wszyscy dworzanie wybitniejsi.

Na zapytania ich wielki mistrz rzekł krótko, pokazując listę:

— Panowie!.. dobry nasz pan zmarł, a nowy król każe nam wszystkim iść do dyabła!

Wówczas dopiero zaczęło się narzekanie, oplakiwano szczerze śmierć Fryderyka i utratę posad.

Za chwilę Fryderyk-Wilhelm wydał drugie rozporządzenie, a mianowicie, że wszyscy mają pełnić swe obowiązki aż od ukończenia ceremonii pogrzebu. Nie chciał nic zmienić w etykiecie, tak młóej ojcu jego, dopóki ten nie spocznie w grobie. Uważał to za święty obowiązek względem rodzica.

Przywołał znów wielkiego mistrza i wydał mu rozporządzenie dotyczące ceremonii, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Po odprawieniu ostatnich modłów zamknął się w swym gabinecie i nakreślił program nowego rządu.

Zaczynała się „nowa era,” najzupełniej odmienna od ery pierwszego króla pruskiego.

Z całego dworu ojca swego zatrzymał tylko jednego szambelana, dwóch pokojowców, dwóch stajennych, dwóch paziów, sześciu lokajów, marszałka i kilku kucharzy. Resztę wszystkich wydalili.

Gwardya szwajcarska została zupełnie zwolnioną od usług, gwardya zaś przyboczna wcieloną do żandarmerji.

Tysiąc koni ze stajni sprzedano przez licytacyę. Tenże sam los spotkał ubrania kosztowne, drogie kamienie, skarbiec prawie cały.

Jedynie tylko srebra stołowe król kazał zachować, mówiąc:

— To się może przydać w danej chwili.

I przydało się istotnie, nie jemu co prawda, lecz Fryderykowi II-mu, który całą zastawę stołową, podziwianą w dobrych czasach przez gości na dwór zapraszanych, kazał przetopić na talary, gdy przyszły chwile ciężkie.

Uregulowawszy swe sprawy osobiste, Fryderyk-Wilhelm zabrał się do spraw państwowych.

Cały program jego rządów streszczał się w słowach następujących, wypowiedzianych dnia pewnego:

— „Ojciec mój chłostał was różgami, ja chłostać was będę skorpionami.“

Nie była to czcza pogróżka, wkrótce naród cały przekonał się o smutnej prawdzie tych słów okrutnych.

Przedewszystkiem zabrał się do szlachty. Chcąc ją upokorzyć, nadał tytuły szlacheckie ludziom najniższego pochodzenia i kazał im zasiąść na zgromadzeniach magnatów.

Równocześnie nałożył opłaty niesłychane na właścicieli majątków ziemskich.

Zgromadzone stany, rodzaj parlamentu obecnego, do którego tylko szlachta i mieszczenie należeli, chciały oponować.

— Kraj zostanie zrujnowany!.. jęczeli.

Król nakazał im milczenie.

— Kraj zrujnowany?.. *non credo!*.. (nie wierzę.) ale za to *credo*, że potęga *Junkrów* będzie zrujnowaną, bo władza moja ma być *comme un rocher de bronze!*.. (jak skała brązowa)

Ostatnie słowa z tego zdania historycznego powtarza z upodobaniem obecnie panujący cesarz Wilhelm II-gi.

Wnet przysłała kolej i na mieszcza!

stwo. Król przygniótł je podatkami. Prowadząc dalej dzieło swego ojca, jeszcze bardziej powypreżał struny.

Podatek od wszelkich produktów spożywczych został podwyższony o sto procent. Nałożono cło na komunikację wodną, a równocześnie wydano rozkaz, że żadnych pakunków i transportów, ważących więcej nad 10 funtów, drogą lądową przewozić nie wolno.

Celem powiększenia dochodów państwowych, odebrał dobra nadane ludzom zasłużonym przez Fryderyka w dzierżawę wieczystą i wypuścił je na lat sześć przedsiębiorcom prywatnym.

Nareszcie, nie wiedząc już na co nałożyć podatek, zabronił wszystkim bez wyjątku mieszkańcom kraju wydalac się z miejsca stałego zamieszkania.

Pozwolenia na wyjazd udzielała jedynie tylko kancelarya królewska za grubą, ma się rozumieć, opłatą.

Reszta ludu żyła pod jarzmem tyranii bezprzykładnej: nikt nie był pewien gdy wstał rano, czy nachodzącej nocy będzie mógł ułożyć się do snu we własnym łóżku.

Drogą publiczną nie sposób było przejechać, jeżeli bowiem podróżny uniknął

kompanii sierzantów, zabierających gwałtem młodych ludzi do wojska, to na pewno padł ofiarą żołnierzy pijanych, włóczących się po całym kraju i rabujących wszystko, co tylko pod rękę popadło.

Szczęśliwy, kto nie spotkał się choć raz w życiu z królem, którego laska legendowa bardzo często spadała na plecy poddanych.

Fryderyk Wilhelm jedną miał tylko namietność: gromadzenia pieniędzy. Chcąc ją zadowolnić, nie cofał się przed żadnymi środkami, wszystkie dlań były dobre.

W muzeum Hohenzollernów wisi jego portret: twarz tłusta z oczyma wylupiaściami, szczeka dolna i podbródek jak u wołu. Postawa gruba, przysadkowata, ciężka; ubranie płócienne nie [dochodzące do kolan, przyozdobione guzikami mosiężnymi bez żadnych ozdób. Rażący kontrast ze strojem Fryderyka I-go wspaniałym, zbyt kownym, prawie kobiecym.

* * *

Surowy, zarówno dla siebie jak i dla obcych, Fryderyk Wilhelm wstawał

w lecie o 4-ej z rana, w zimie o 6-ej. Do 10-ej pracował z ministrami i udzielał posłuchań. Następnie udawał się do koszar lub na plac broni, gdzie codziennie latem i zimą odbywały się manewry wojskowe.

Lustgarten, ów ogród ulubiony Wielkiego elektora, a upiękaszony przez Fryderyka I go został z rozkazu królewskiego zniesiony; drzewa i szpalery grabowe wycięto, oranżerye zburzono, a plac przeznaczono na miejsce mustry.

To samo zrobiono z parkiem otaczającym Potsdam; tam wprawiały się i ćwiczyły codziennie oddziały, które miały następnie przyjmować udział w wielkich manewrach, urządzanych corocznie w maju i czerwcu w Thiergartenie.

Oprócz manewrów ogólnych, codziennie jeden z pułków był przedmiotem szczególnej uwagi króla. Fryderyk Wilhelm kazał sobie co rano przedstawiać rekrutów, którzy dla odróżnienia od weteranów zdobyli czapki swe gałązkami dębowemi; rozmawiał z nimi, wypytywał ich o kraj rodzinny, o rodzinę i krewnych. Później odbywał przegląd pułku całego, jednego żołnierza po

drugim, nie pomijając najmniejszego szczegółu ubrania.

Nieszczęsny kto uchybił przepisom obowiązującym; historyczna laska spadła wnet na grzbiet delikwenta, bez względu czy to był prosty żołnierz czy oficer.

Pewnego razu król obił jakiegoś porucznika, pochodzącego z rodziny magnackiej. Obity wystąpił przed front, zbliżył się na krok od króla, wyjął pistolet z za pasa, wymierzył w twarz królewską, poczem szybkim ruchem przyłożył go sobie do skroni i mówiąc:

— „Odemnie zależy, w jaki sposób dokonać zemsty...”

Wystrzelił i padł trupem u nóg Fryderyka Wilhelma, bo nie chciał zabić króla, a nie mógł przenieść hańby doznanej.

Po przeglądach w Thiergartenie odbywała się wielka parada doroczna w Tempelhof. Był to dzień oczekiwany z upragnieniem przez berlińczyków, zarówno podówczas jak i obecnie.

Król wyjeżdżał na paradę tę o godzinie 2-ej z rana, by przyjrzeć się pułkom, które przed rozpoczęciem parady musiały przedefilować przed nim. Następnie przez dzień cały trwały

manewry i przeglądy, kończące się szarżą kawalerii na piechotę ustawioną w czworokąty.

W pierwszych rzędach stali grenadierzy i wyrzucali kule drewniane, naśladujące pociski armatnie.

Po defiladzie końcowej, która powtarzała się niekiedy dwa a nawet i trzy razy, wojsko powracało do stolicy wśród dźwięków orkiestry i turkotu artylerii.

Tłumy mieszczan sunęły po bokach oddziałów, przypatrując się z największą ciekawością, aby nie stracić żadnego szczegółu z tego widowiska.

Przed bramami miasta wojsko zatrzymywało się na odpoczynek półgodzinny, poczem jeszcze raz defilowało przed pałacem zamkowym. Król przypatrywał się zwykle z balkonu.

Zazwyczaj parada kończyła się około piątej po południu, pomimo to jednak Fryderyk-Wilhelm nie czuł się wcale zmęczonym.

Zaledwie ostatni żołnierz zniknął na zakręcie ulicy, król wsiadał znów na konia i w towarzystwie adjutanta swege pędził do Potsdamu, gdzie musiał zwiedzić garnizon tego miasta; na czelnie garnizonu owego maszerowali gre-

nadierzy - olbrzymi, jego sława, jego duma.

Skąpy z natury do najwyższego stopnia, Fryderyk-Wilhelm nie szczędził wydatków na utrzymanie tego pułku, składającego się z dwóch tysięcy ludzi.

W pierwszym jego batalionie byli ludzie wzrostu niezwyklego; najniższy musiał mieć sześć stóp wysokości.

Najpiękniejszymi okazami tego oddziału byli: norwegczyk nazwiskiem Jonas i prusak Hochman.

Ten ostatni był tak wielki, iż król August saski, człowiek wzrostu okazałego, zaledwie mógł dosięgnąć ręką jego czoła.

Dwaj ci „goliaci“ maszerowali na czelnie pułku tuż za doboszami, na których używano jedynie tylko negrów, sprowadzonych z dawnych kolonij afrykańskich.

Dalsze oddziały były coraz mniejsze.

Wojsko to nosiło mundury odpowiednie z wysokimi czapkami, co jeszcze czyniło żołnierzy wyższymi; na froncie czapek lśniły orły królewskie, metalowe.

Mundur na nich był koloru niebieskiego z wyłogami szkarłatnymi, kamizelki słomkowe, spodnie białe.

Strój oficerów haftowany złotem, podoficerów zaś srebrem, z kołnierzami wysokimi, bogato wyszywanymi.

Gdy pułk maszerował, przed każdą kompanią niesiono kilka sztandarów, które jeszcze bardziej podnosiły urok tej armii oryginalnej.

Ile kosztowało zorganizowanie i utrzymanie tego pułku?.. nieraz już zadawano sobie to pytanie, nikt jednak na nie nie umie odpowiedzieć. Rachunki innych pułków pozostały w największym porządku, lecz budżet dotyczący grenadierów Fryderyk-Wilhelm spalił własnoręcznie przed śmiercią, wstydząc się przed sobą samym i swymi potomkami rozrzutności na tym punkcie.

W oryginalny sposób dostarczano ludzi do tego pułku: specjalna banda werbowników przebiegała całą Europę, węsząc za olbrzymami i zabierała ich dobrowolnie lub przemocą, opłacając nieraz nabytek taki olbrzymiami sumami a nawet życiem, gdyż werbownictwo podówczas karane było śmiercią.

Jeden z nich, Archamband, potomek wychodźców francuskich, wyszukawszy w Wogezach w Saint-Mihiel jakiegoś stolarza 6 i pół stopy wy-

sokiego, chciał go koniecznie zwerbować.

Stolarz słuchał dosyć chętnie słów wymownych i wymowniejszego jeszcze dźwięku złota; w dniu jednak gdy Archamband przybył do ostatecznego ukończenia interesu, zawiadomione władze miejskie pochwytyły go i wysłały do Metz, gdzie go miano powiesić.

Na szczęście, udało mu się przekupić kluczników i umknąć.

Gdy namowy nie skutkowały, agenci Fryderyka-Wilhelma używali podstępów i siły.

Doszło nawet do tego, że z Rzymu porwano księdza, zakneblowano mu usta i przywieziono do Potsdamu.

Urządzono to w sposób następujący: Pewien major, niejaki Front, należący do blizkiego otoczenia Fryderyka-Wilhelma, dowiedział się o owym księdzu, istnym kolosie.

Naraz major ów popada w niełaske.

Od dłuższego już czasu major nawiązał stosunki z księżmi w Berlinie i dawał im do poznania, iż chętnie porzuciłby protestantyzm a przyjął religię katolicką.

Gdy nieszczęście niełaski spadło na jego głowę, otwarcie wyznał swe zamiary i zwierzył się, iż wyjeżdża do Rzymu, by tam dokonać swego nawrócenia.

Rzecz naturalna, iż wszystko to było udane, lecz komedia tak doskonale została ułożona, że nikt się na niej nie poznał.

Księża berlińscy pochwalili zamiar Fronta i dali mu listy polecające do osób wysoko postawionych w Rzymie.

Przybywszy do Wiecznego miasta, major przyjęty został z otwartymi ramionami.

Wkrótce pobożność jego powszechną zwróciła uwagę; podziwiano go nie tylko w mieście całym, ale i w świętem kolegium. Po całych dniach siedział w kościołach, jałmużnę rozdawał hojną dłońią, a żadnego kazania nie opuścił.

Ze szczególnem jednak nabożeństwem przysłuchiwał się kazaniom owego księdza wysokiego, na którego król pruski miał tak wielką chrapkę.

Siadywał zawsze w pierwszych rzędach i formalnie połykał jego słowa.

Kaznodzieja czując wciąż magnetyczny jego wzrok na sobie, do niego przeważnie się zwracał i do niego stosował swe słowa.

Front znalazł w krótkie sposobność poznania się z upatrzoną swą ofiarą. W rozmowie zwierzył się raz jeszcze z gorących swych życzeń przyjęcia religii katolickiej i, rzecz naturalna, znalazł poparcie i zachętę.

— Chciałbym jednak oczyścić duszę mą gdzieś w ciszy ustronnej, zanim przystąpię do czynu tak ważnego dla mej duszy. Rzym zanadto jest ruchliwy, zanadto pełnym życia, wrzawy... nie jest to miejsce odpowiednie do rozmyślań. Gdybym tak mógł znaleźć pomieszczenie w jakim klasztorze na prowincyi!.. Oto czego potrzeba dla całkowitego mego zbawienia.

Front wiedział dobrze, że ksiądz ów będący zakonikiem z prowincyi, powróci do swego klasztoru, dla tego też przed nim zwierzał się w sposób podobny, liczył bowiem, iż ksiądz zaprosi go do siebie.

Nadzieja go nie zawiodła; zakonnik ofiarował mu gościnę w klasztorze; ponieważ zaś sam miał opuścić Rzym

w połowie postu, więc zaproponował majorowi, aby pojechali razem.

Front, ma się rozumieć, przyjął z chęcią tę propozycję.

Za tydzień pojechali. Co się stało w drodze... historia milczy, to tylko jest faktem, iż w miesiąc później zakonnik ów maszerował w mundurze grenadyera w pierwszej kompanii ulubionego pułku Fryderyka-Wilhelma.

Wkrótce potem król pruski napisał list do papieża Klemensa XII-go, w słowach najbardziej ironicznych zapytując, czy niema w Rzymie więcej księży, mających w tak wysokim stopniu zalety potrzebne dla grenadyera pruskiego.

Papież rozgniewał się, chciał wyważyć pośrednictwa państw sąsiednich, ponieważ jednak historia ta budziła więcej śmiechu niż oburzenia, wkrótce więc pogodził się z wypadkiem spełnionym, tembardziej, iż przekonał się przy tej sposobności, że ma do czynienia z człowiekiem na tym punkcie nieugiętym.

Wyprawy werbownicze przybierały uiekiedy obrót wielce tragiczny.

Pewnego dnia dano znać kapitanowi Hompesch, iż w mieście Jüllich

mieszka stolarz olbrzymiego wzrostu. Hompesch pojechał tam natychmiast i zaproponował stolarzowi wstąpienie do wojska pruskiego za znacznem wynagrodzeniem.

Stolarz nie przyjął propozycji.

— Źle pan robisz — rzekł kapitan — król Fryderyk-Wilhelm lubi bardzo ludzi wysokiego wzrostu. Zaręczam, że ujrzawszy cię tylko, obspalby cię łaskami swemi.

Na nic się jednak niezdąły wszystkie te perswazyje; stolarz był nieugięty.

Hompesch zmuszony był powrócić do Berlina z niczem. Po upływie atoli miesiąca powraca raz jeszcze i nie wspominając nic o werbunku, zamawia trumnę na próbę, miała ona służyć dla któregoś z grenadyerów, który już dogorywał.

Jego królewska mość polecił mi zwrócić się do pana, mówiąc, że jeżeli nie chcesz być grenadyerem, to przynajmniej zasługujesz na to abyś robił trumny dla grenadyerów. Jeżeli ta, którą zamawiam spodoba się królowi, będziesz miał dużo roboty i zysk niemały.

Stolarz nie podejrzewając podstęp, zrobił trumnę żadaną, że zaś miała ona służyć dla grenadyera, więc wziął na nią miarę z własnej swej osoby.

Na drugi czy trzeci dzień zjawia się kapitan, ogląda trumnę obitą aksamitem, ozdobioną godłami pruskimi; chwali robotę lecz powiada, że trumna za mała.

— Jakto? za mała? Czyż grenadyery w Potsdamie są wyżsi odemnie?

— To nie, ale równi panu wzrostem a dla pana trumna ta byłaby za mała.

— Przeciwnie, kapitanie, zrobiłem ją według własnej mej wysokości.

— To niepodobna!..

— Zaraz cię przekonam, kapitanie — i naiwny stolarz kładzie się w trumnę.

W tej samej chwili wpada dwóch żołnierzy, którzy za drzwiami oczekiwali tylko na hasło. Nakrywają trumnę wiekiem, porywają ją na ramiona, wynoszą na wóz, stojący przed domem i galopem wyjeżdżają z miasta.

Za rogatkami, ujechawszy milę, u-

chylają nieco wieko, aby dać odetchnąć porwanemu.

Za późno!.. ten co miał stać się rywalem Jonasa i Hochmana umarł z przerażenia i braku powietrza.

* * *

Grenadyerzy Fryderyka - Wilhelma byli właściwie tylko żołnierzami od parady; za ładni, za kosztowni, aby ich wystawiać na brutalny wypadek wojny.

Zresztą całe panowanie tego króla było spokojne.

Jakkolwiek usposobiony na wskrosz wojskowo, Fryderyk-Wilhelm był rycerzem jedynie na manewrach.

W pierwszych zaraz dniach po wstąpieniu na tron wypadło mu przyłączyć się do związku utworzonego przeciw Karolowi XII-mu, królowi szwedzkiemu.

W kampanii tej nie brał żadnego udziału czynnego, pomimo to zyskał z niej plon znaczny, po ukończeniu bowiem wojny ze Szwecją otrzymał miasto Szczecin i część Pomorza. Na bytek ten, co prawda, kosztował go dwa miliony talarów.

Nie więcej odznaczył się w wojnie z Francją, która popierała pretensje Stanisława Leszczyńskiego przeciwko królowi Augustowi II-mu saskiemu.

A jakiej to wrzawy narobiono w Berlinie przed zaczęciem tej wojny!.. Fryderyk Wilhelm pisał do córki swej margrabiny Baireuth:

— „Wyjeżdżam moja kochana za sześć tygodni nad Ren. Syn mój i krewni moi również wdają się w tę wojnę; i mój zięć powinien przyjąć w niej udział. Czyż wreszcie będzie zajmował się ulubioną swą zabawką, sadzeniem kapusty w Baireuth, gdy wszyscy książęta cesarstwa ciągną na pole wojenne.“

Jak zaś zachował się król pruski wobec nieprzyjaciela, najlepiej świadczy następujący urywek z pamiętników markiza d'Argenson:

„Przystąpiono do oblężenia Filipsburga. Król pruski nadszedł także, gdy się jednak dowiedział, że atakiem dowodzić ma książę Eugeniusz Sabaudzki, odjechał w przeddzień szturm, twierdząc, że nie może znieść huku armat.“

Pomimo to jednak Fryderyk Wilhelm odegrał bardzo ważną rolę w historii wojskowej Prus. Jakkolwiek bowiem żołnierze jego nie oddali mu prawie żadnych usług, lecz jemu to Prusy zawdzięczają zawiązek armii karnej i wybornie zorganizowanej, którą następcy jego umieli spożytkować.

* * *

Po manewrach król wracał do zamku na obiad.

Była to jedna z najpiękniejszych chwil w jego życiu. Fryderyk Wilhelm bowiem lubiał jadać i dużo i dobrze, byleby tylko obiad nie był drogi.

Co rano kazał sobie przedstawić „menu“ obiadowe z wykazem szczegółowym ile każda potrawa będzie kosztowała. Ceny te porównywał z cenami targowemi, jakie wyczytał w gazetach i nieraz miarkował je według tej wskazówki i to tak drobniaczkowo, że gdy ujrzał obok cytryny wymienioną cenę 9 fenigów zmienił ją na 8.

Pewnego dnia zaprosił na obiad swych generałów. Kucharz przedstawił mu rachunek na 31 talarów Urwał talarą i pod spodem popisał: *wiecznie okradany Fryderyk Wilhelm.*

Rachunek ten znajduje się w muzeum Hohenzollernów.

Dziwnym wobec tego wydać się może fakt, iż pomimo tak szalonej oszczędności, potrawy na stole królewskim były i obfite, i wytworne, i wybornie przyrządzone.

Obiad składał się z kilku dań a król żadnego nie pominął.

Zacznął zazwyczaj od raka morskiego, po którym następowały ostrygi, ulubiony jego przysmak.

Sprowadzał je codziennie z Hamburga i zjadał albo tuzin albo całą setkę. Zależało to nie od apetytu, ale od tego, czy były kupione, czy też przysłane w podarunku, co się bardzo często zdarzało.

Do kuchni królewskiej nadsyłano wielkie zapasy najrozmaitszych przedmiotów: ryby, dziczyzna, owoce, nowalio, a największą łaską króla, okazywaną naturalnie tylko słowami, cieszyli się ci, co dostarczali codziennie mięsa.

Król kazał utrzymywać szczegółowy wykaz ofiarodawców, oraz przedmiotów przez nich nadesłanych; gdy zauważył, że który z nich zaczyna się zaniedbywać, wnet wysyłał do niego

list z podziękowaniem za „już“ i z przypomnieniem się pamięci o „jeszcze.“

O dziczyznę nie dbał wiele; nadsyłano jej bowiem tak dużo, iż służba królewska wynosiła ją na targ i odprzedawała przekupniom.

Czasami król robił z niej prezent któremu ze swych poddanych, nigdy jednak nie zapominał dołączyć rachunku za produkt ofiarowany.

Dochody z tych źródeł czerpane obracane były na wydatki kuchenne; król bowiem żalił się nieustannie, iż obiady za drogo go kosztują.

Zdarzało się nieraz, że król zapraszał się na obiad do swych ministrów, generałów, a często i mieszczan, korzystając z okazji wesela lub chrztu.

U mieszczan wymawiał sobie, że do stołu prócz pani domu żadna inna kobieta nie usiadzie.

Przeciwnie zaś u wojskowych zabierał zwykle żonę swoją i obowiązkiem jej było otwierać bał, stając w parze z amfityryonem uczyły.

Poelnitz, autor nadzwyczaj ciekawych pamiętników z owej epoki, powiada, że na weselu pewnego zwykłego porucznika gwardyi, królowa chciała rozpocząć tańce polonezem,

jako nieco poważniejszym, porucznik atoli trochę pijany a przytem prostak, ujął królowę za rękę i uwijał się z nią po sali, tak, że Zofia-Dorota wyglądała raczej na córkę jakiego karczmarza, aniżeli na monarchinię.

Król usiadł w fotelu i widząc fruważącą w powietrzu suknię swej żony, trzymał się za boki od śmiechu i bawił się widokiem przypadającym mu wielce do gustu.

Już to przyznać trzeba, że Fryderyk-Wilhelm nie okazywał zbytniego szacunku dla żony swej, z domu księżniczki Hanowerskiej.

Bojaźliwa i łagodna stała się, skutkiem nietaktownego postępowania króla, swarliwą i przykrą.

Przywyknawszy do kaprysów swego małżonka, wnet zaczęła je naśladować i często, tak samo jak i on, zapominała o swej godności.

Pewnego razu, siedząc na uczcie tuż koło jakiegoś zakonnika, tak go spoiła, iż biedny mnich, chcąc odwdziżyć się za „tyle dobroci,“ zdjął krzyż z szyi i chciał go koniecznie włożyć na szyję królowej.

Fryderyk-Wilhelm dusił się od śmiechu, tak go ta scena bawiła.

A jednak król kochał żonę swą bardzo; gdy przeczuwał blizki koniec życia, rzekł do pastora asystującego przy łożu:

— Jeżeli wierność małżeńska jest zasługą, to ja powinienem iść co najmniej prosto do nieba, nigdy bowiem w życiu nie sprzeniewierzyłem się mej małżonce.

Zdaniu temu można zawierzyć, chociaż margrabina Baireuth opowiada w swych pamiętnikach pewną awanturę, w której król miał być bohaterem.

Fryderyk-Wilhelm raczył zwrócić swe spojrzenia na jedną z panien dworskich, von Pannevitz, a ponieważ król nie zwykł był kępować się etykietą lub względami moralności, otwarcie więc zaproponował nadobnej szlachcianeczce, aby została jego kochanką.

Biedna dziewczyna, obrażona i oburzona, zaczęła płakać, lecz prędko zebrała odwagę i krew zimną i zmyślała napastnika ostatnimi słowami—„jak parobka“ — dodaje margrabina.

Król zawstydzony uciekł i nie czepiał już więcej panny Pannevitcz, a nawet nie wspomniał ani słowa o tem zajściu.

Zdarzyło się jednak, że w parę miesięcy później, podczas zaślubin syna swego w Brunświku, idąc po schodach wązkich, spotkał znów tę zgrabną dziewczynę; byli sam na sam, Fryderyk-Wilhelm zatem chcąc powetować swą porażkę, ujął ją w pól i zbliżył twarz swoją do jej ust, aby wycisnąć na nich gorący pocałunek. Panna atoli nie namyślając się wcale, cofnęła się gwałtownie i pięścią wymierzyła raz tak silny pomiędzy oczy, iż strumień krwi zalał twarz i ubranie jej prześladowcy.

Ujrawszy co się stało, struchlała; sądziła bowiem, że Fryderyk-Wilhelm każe ją zamknąć do więzienia za obrzę majestatu.

Nie stało się jednak, jak przewidywała. Król wszystkim opowiadał ze śmiechem tę historję, nazywając pannę Pannevitcz „notliwą Lukrecyą,“ gdyż zaś była obecna, wołał na nią:

— Hej!.. ty.. złośliwy dyable!..

I w innej jeszcze okoliczności Fryderyk-Wilhelm dowiódł, jak dalece nie-

czułym był na wdzięki kobiece; opowiadanie to również zawdzięczamy margrabinie von Baireuth.

Rzecz działa się w Dreźnie na dworze Augusta Wspaniałego, u którego Fryderyk-Wilhelm bawił w gościnie jeszcze jako następcą tronu wraz z ojcem swym, królem Fryderykiem I-ym.

Kilku dworzan oprowadzało młodego podówczas księcia po galeryach dworskich; z ciekawością przyglądał się wytwornym meblom, wspaniałym obiciom, artystycznym rzeźbom.

W jednej z sal zatrzymał się dłużej przed olbrzymim obrazem przedstawiającym jakąś scenę historyczną. Nagle obraz znika mu z przed oczu, a w pewnej odległości ukazuje się kobieta śpiąca, ubrana, jak praojcowie nasi w raju byli ubrani.

Tysiące światel podnosiło jeszcze bardziej piękność cery i kształtów, którychby nawet Wenus mogła pozazdrościć.

Książę zaledwie spojrział na ten obraz, obrócił się oburzony, i zapowiedział jednemu ze swoich generałów, że jeżeli liby coś podobnego miało się powtó-

rzyć, to wyjedzie natychmiast, chociażby wbrew woli ojca swego.

* * *

Po obiedzie Fryderyk Wilhelm udawał się zazwyczaj na przechadzkę.

Nie szukał jednak lasów ni ogrodów; przez dwie, trzy, nieraz nawet cztery godziny, włóczył się po ulicach Berlina, zawsze pustych; każdy bowiem uciekał, aby nie spotkać się z królem.

Daremnie chciał uzyskać popularność i sławę dobrodusznego; sam widok jego łaski historycznej odstraszał nawet najlepiej usposobionych.

Gdy spotkał na ulicy kobietę jaką lub dziewczynę, podchodził wprost do niej, i osypywał ją gradem obelg:

— Gdzie idziesz łajdaczko?... kobieta uczciwa nie powinna włóczyć się po ulicach... W domu jest jej miejsce; gdy wychodzi na ulicę, to tylko po to, żeby robić plotki, lub żeby się łajdaczyć.

I w ślad za temi słowami na plecy nieszczęśliwej spadała łaska historyczna.

Nieraz przechodzień jaki spostrzegł monarchę nieco zapóźno i chciał się

wymknąć; Fryderyk Wilhelm biegł natychmiast za nim, zatrzymywał i występował z napomnieniami, uwagami, radami.

Żądał zawsze, aby w czasie rozmowy patrzono mu wprost w oczy, jak bowiem twierdził, z oczu potrafił czytać w duszy.

Czasami zapytywał o rodzaj zatrudnienia, a gdy obudziło się w nim jakie podejrzenie, kazał składać dowody tożsamości osoby.

Raz spotkał przechodnia:

— Czem się zajmujesz?

— Jestem nauczycielem tańca.

— Czy tak? Więc pokaż mi jak tańczysz piruety.

Biedny tancerz zaczął skakać na ulicy jak opętany.

Królowi tak się ta scena podobała, iż wypuścił biedaka dopiero, gdy padł na bruk uliczny omdlały i z sił wyczerpany.

Nie było kąta, do którego by nie zajrzało baczne na wszystko oko Fryderyka-Wilhelma, a biada nierozsądnemu, co odważył się na jakąkolwiek zmianę lub reformę, nie zasiągnąwszy wprzód zdania, czy król się na nią zgodzi.

Ulegając żądaniu powszechnemu król urządził t. zw. Akademię umiejętności.

Jaka to była akademia, najlepiej wnosić można z tego, że część jej budynku obrócona na stojnie dla koni i mułów.

Pewnego dnia wzrok królewski padł na nowy napis umieszczony nad bramą główną.

Fryderyk-Wilhelm zatrzymał się i zapytał swego adjutanta:

— Co to jest?..

— To?.. wiersze łacińskie, Najjaśniejszy Panie.

— Czyje?..

— Jednego z poddanych waszej królewskiej mości, poety Wachtera.

— Ach!.. Wachtera!.. Niech go tu natychmiast przyprowadzą.

Piewca lasów i nimf przybył wnet blady, drżący, wystraszony.

— Głupczel!.. któż ci to pozwolił bawgrać po murach, stanowiących moją własność?.. Wynos mi się natychmiast z Berlina i z moich krajów.

I Wachter został wygnany.

Fryderyk-Wilhelm nienawidził łaciny, prawdopodobnie dla tego, że pomimo najusilniejszych starań, nie mógł się jej nauczyć.

Zostawszy królem pruskim, zakazał uczenia tego języka w szkołach. Nauczyciel przekraczający ten zakaz, skazywany był na 25 kijów.

Język francuzki znosił, przedewszystkiem dla tego, że od dzieciństwa słyszał go ciągle na dworze; powtórę zaś, że nauczycielka jego, francuska, niejaka pani de Montbeil, była jedyną osobą, która potrafiła kierować nim i panować nad jego usposobieniem kapryśnem.

Chcąc jednak zemścić się za to mimowolne ustępstwo, prześladował francuzów na każdym kroku.

Emigranci, dawniej uprzywilejowani, teraz unikali spojrzenia królewskiego.

Jeżeli któremu z nich zdarzyło się spotkać na ulicy z królem, kłaniali się nisko, bełkotali wyrazy jakies niezrozumiałe.

— Czytałeś pan „Świętoszka“ Molierra? — było zwykłe zapytanie Fryderyka-Wilhelma, gdy spotkał którego z francuzów.

Łatwo wyobrazić sobie można położenie kłopotliwe zapytanego w ten sposób.

Podobne pytanie rzucił raz król i am-

basadorowi francuskiemu, spotkanemu na ulicy w licznej towarzystwie.

Ambasador nie stracił miny, lecz patrząc wprost w twarz Fryderyka-Wilhelma, odpowiedział śmiało:

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! i „Skapca“ czytałem także.

Król zagryzł wargi i nie rzekłszy ani słowa odwrócił się i odszedł.

Po największej części przechadzki króla były bezcelowe, dla tego też chętniej spacerował po ulicach Berlina, aniżeli w innym mieście prowincjonalnym, gdzie nie było sposobności do jakiegokolwiek rozrywki.

Największą przyjemność sprawiały Fryderykowi-Wilhelmowi wycieczki do miejsc, gdzie stawiano nowe domy.

Budowano je według wskazówek króla, lecz kosztem osób prywatnych.

— Ten lub ów ma pieniądze, niech więc buduje!.. — myślał król i natychmiast posyłał do poddanego, którego zaszczyt ten spotykał, aby wybudował taki a taki dom, według planu sporządzonego w kancelaryi królewskiej, na placu należącym do króla, a sprzedanym za drogie, rzecz naturalna, pieniądze.

Czasami zdarzało się, że dom wyglądający na planie doskonale, nie przypadł królowi do gustu, gdy już budowę jego do połowy doprowadzono, lub nawet całkowicie ukończono.

Wówczas król kazał przerabiać, burzyć, stawiać na nowo, a zawsze na koszt cudzy.

Berlin w ten sposób powiększał się, przystrajał gmachami wspaniałymi, a wszystko to dla kaprysu monarchy-przemysłowca, nie trzeba bowiem zapominać, że każdy nowo wzniesiony budynek natychmiast obciążony został olbrzymimi podatkami.

Zrozumieć też łatwo, iż królowi, któremu chodziło o zebranie jak największej ilości podatków, zależało i na tem, aby domów było jak najwięcej.

To samo działo się ze sklepami, to samo z zakładami przemysłowemi.

Każdy kto rozporządzał jaką taką sumą, chcąc nie chcąc musiał je zakładać, bo taka była wola królewska, a sprzeciwienie się jej groziło nie tylko karami pieniężnymi, lecz i bolesnymi razami łaski monarszej.

Nic też dziwnego, że postępując w ten sposób, król zebrał w kasie swej 160 milionów talarów; suma ta na owe

czasy o wiele większą przedstawiała wartość aniżeli obecnie.

Oszczędności te były zamknięte w piwnicy, zawsze strzeżonej przez oddział żołnierzy.

Worki ze złotem wpuszczano do niej przez otwór specjalnie urządzony, a następnie układano je w porządku, niby książki na półkach biblioteki.

Gdy do Berlina zjeżdżał jaki gość znamienity, Fryderyk-Wilhelm prowadził go do owej piwnicy i pokazywał swe skarby, jako rzecz najciekawszą.

Zazwyczaj wszyscy wyrażali mu w gorących słowach swe uznanie, czasami jednak działa się przeciwnie: Cesarz Piotr Wielki nie zwrócił nawet uwagi na ten szereg worków ciemnych, jednakowego kształtu.

Cesarzowi towarzyszył król August Saski. Ten, obejrzawszy się dookoła po całej piwnicy, zapytał:

— Gdzież więc są twe skarby, mój bracie?... Ta nora chyba jest przed-sionkiem do nich.

— Ależ to tu właśnie jest skarbiec właściwy.

— Eh... mój bracie... to na nie taka robota... Ja gdy mam dukata, puszczam go w obieg i zyskuję na nim trzy lub

cztery, ty chowasz go w piwnicy, gdzie leży bezużytecznie.

Lekcja ta nie przyniosła żadnej korzyści; Fryderyk-Wilhelm oszczędzał dalej talara po talarze. W końcu doszedł do tego, że gotów był nabywać je sposobem najbrudniejszym, byle tylko powiększyć swe zbiory.

Pewna dama dworska, wdowa, została matką. Bojąc się wygnania, przybywa do króla i rzucając mu się do nóg, błaga o przebaczenie.

— Dobrze... dobrze... dasz pani trzydzieści tysięcy dukatów. Twój honor będzie ocalony.

Jednego roku straszny głód srożył się w Berlinie i okolicach stolicy. Magazyny królewskie pełne były zboża, lecz Fryderyk-Wilhelm nie kazał ich otwierać dopóki ceny targowe i tak już wysrubowane, jeszcze bardziej poszły w górę.

Wyczerpawszy wszystkie już, jak się zdawało, sposoby zyskiwania dochodów, Fryderyk-Wilhelm znalazł jednak jeszcze jeden, a mianowicie na zmianie pieniędzy.

Złota było bardzo mało w obiegu, prawie bowiem wszystkie zebrano w

piwnicy królewskiej. W obiegu głównie były papiery.

Król zabronił najsurowiej dokonywać wypłat papierami.

Pewien kupiec, którego schwytano na przekroczeniu tego zakazu, został powieszony na bramie w Oranienburgu.

Egzekucye były jedną z najbardziej ulubionych rozrywek Fryderyka-Wilhelma. O tyle okrutny, o ile i skąpy, król okazał się dostawcą szafotu i szubienicy.

Parodyując słynne słowa Ludwika XIV-go, mawiał: „sprawiedliwość to ja!” i stosował się do tego zdania.

Trybunały wciąż były czynne i wydawały wyroki, lecz to była forma tylko pozorna.

Niezadowolony z orzeczenia wypowiedzianego pewnego razu przez sąd, wezwał wszystkich jego członków do siebie i przyjmował ich po jednym.

Każdy z nich wchodził jednemi drzwiami, otrzymywał odpowiednią liczbę kijów i wychodził drugimi, ustępując miejsca swemu koledze.

Prawo wydane przeciwko pojedynkom, stało się przyczyną rozlicznych egzekucyj.

Bez względu czy spotkanie kończyło się śmiercią czy też raną, uczestnicy pojedynku oddawali głowy pod miecz katowski. Jeżeli który z nich był ranny, oddawano go w opiekę lekarzom, a gdy wyzdrowiał, stawiano przed sądem i skazywano na śmierć.

Jeden z oficerów, znalazłszy się w podobnem położeniu, prosił, aby mu pozostawiono trzy dni czasu na załatwienie interesów i przygotowanie się do zgonu; król odmówił jego prośbie, dowodząc, iż skoro proszący przez dwa miesiące pobytu w szpitalu nie pojednał się z Bogiem, to i trzy dni nie wystarczą mu na załatwienie tego pożądanego obowiązku.

Ta surowość stosowana do osób wyzywających się na pojedynki, miała pewien dobry skutek, zmniejszyła mianowicie ilość sporów i bójek pomiędzy oficerami; nie wplynęła jednak na polepszenie doli mieszczan, których wolno było prześladować i tłuc bezkarnie zarówno szlachcie, jak i oficerom.

Generał Wartensleben uderzył w twarz jakiegoś kupca; nieborak poszedł na skargę do króla. Na nieszczęście swoje, w chwili gdy zgłosił się do

Fryderyka-Wilhelma, zastał tam swego prześladowcę.

Król wysłuchawszy o co rzecz idzie, przywołał Wartenslebena i kazał mu tak długo bić nieszczęśliwego korzenika, dopóki nie straci przytomności, aby zapamiętał, iż przeciwko generałom skarg wnosić nie wolno.

Wspominaliśmy już o wielkiem okrucieństwie, jakim odznaczał się Wielki elektor, lecz Fryderyk - Wilhelm o wiele przewyższał swego dziadka w tym względzie i wydał prawa tak straszne, iż dziwić się należy, jak mogły one znaleźć zastosowanie wśród narodu ucywilizowanego.

W r. 1735 ogłoszono edykt przeciwko złodziejom. Pomiedzy innymi czytamy w nim, iż służący, „posadzony“ o kradzież przenosząca wartość trzech talarów, ma być bezwzględnie powieszony przed domem swego pana.

Do dnia dzisiejszego w Berlinie, przy ulicy Brackiej (Bruderstrasse), w pobliżu zamku stoi dom o wyglądzie wielkopańskim; podanie ludowe ustaliło nazwę tego domu „pałac szubienicy.“

Należał on swojego czasu do jednego z ministrów Fryderyka - Wilhelma,

niejakiego Happe i był widownią dramatu ponurego.

Pewna służąca powieszoną została w bramie; posadzono ją o kradzież łyżki srebrnej.

Daremnie nieszczęśliwa przysięgała się, iż nie spełniła zbrodni, jaką jej zarzucano, daremnie krzyczała w ostatniej chwili, iż ginie nieśluszenie.

Wyrok spełniono z całą bezwzględnością i tegoż samego dnia znaleziono przedmiot poszukiwany w psiej budzie, gdzie go zapewne zaniósł któryś z brytanów, kręcących się przy stole pana ministra.

Berlińczycy mieli sposobność ujrzania innego widowiska, bardziej jeszcze okrutnego.

Pewnego dnia rozmawiano o surowości prawa przeciw złodziejom; król słyszał tę rozmowę, odezwał się, iż gdyby jego okradziono, to ukarałby sprawców tak strasznie, iż historia nie widziała jeszcze przykładu podobnego.

Zdarzyło się, iż jakiś ślusarz do spółki z odźwiernym skradli z zamku królewskiego kilka medali srebrnych. Fryderyk wydał winnych na pastwę tortur, zupełnie jak to się zdarzało za czasów Joachima I-go. Włóczono ich po ulicach,

wyrywano im ciało rozpalonemi klezczami, a żony ich musiały przyglądać się temu widowisku, by zaś nie zamknęły oczu, wycięto im powieki. Gdy mężowie ich wyzionęli ducha, zawleczono je do Szpandau, gdzie wykonano na nich wyrok powieszenia, lecz natychmiast odcięto je od szubienicy.

Król, obecny przy egzekucyi, darował im życie lecz kazał je zamknąć dożywotnio do więzienia, a to wszystko za to, iż nie wydały swych mężów.

* * *

Jedną z najciekawszych sal w muzeum Hohenzollernów jest fajczarnia Fryderyka Wilhelma I-go. Stoi tam stół drugi, otoczony krzesłami drewnianymi, rzeźbionymi, na zielony kolor pomalowanymi.

Po krzesłach i stole porzrucane najrozmaitsze cybuchy i fajki, najczęściej gliniane, zawdzięczające żywiczną swą barwę długiemu użyciu.

Fryderyk Wilhelm palił namiętnie, a za nim i dwór cały; osoby zaufania, ministrowie, generałowie, wszystko to schodziło się do fajczarni królewskiej,

gdzie spędzano czas na rozmowie wśród kłębow dymu.

W tejże samej sali stoi na boku półka, a na niej najrozmaitsze słoje i pudełka fajansowe, szklane, metalowe, w których dawniej mieścił się tytoń.

Bachusowi składano też hołd należyty; przed każdym z gości, przychodzących do fajczarni, stawiono kufel piwa, a obowiązkiem służącego była piecza, by żaden kufel nie był nigdy próżny.

Ciekawym jest ten zbiór kufli: najwięcej szklanych i glinianych, są jednak i metalowe. Jeden ze srebra, ma kształt lwa heraldycznego, inny z majoliki, przypomina koguta.

Fryderyk Wilhelm najczęściej pił z buta szklanego, a wypróżniał go za jednym tchem.

Rozmiary owych kufłów są niekiedy zadziwiające: jeden ma kształt i wielkość zwykłej kuchennej konewki.

Do niektórych przywiązane są podania historyczne. Na osobnym stoliku stoi czasza kryształowa; pił z niej cesarz Piotr Wielki gdy po raz drugi bawił w Berlinie.

Gdy monarcha wychylił toast na wieczną trwałość przyjaźni rzucił czaszę

o ziemię aby już nikomu na przyszłość nie służyła. Pomimo silnego uderzenia czasza pozostała nietknięta.

Przesądni upatrywali w wypadku tym przepowiednię, iż przyjaźń Rosyi i Niemiec nie będzie długotrwała.

Wszyscy zgromadzający się w fajczarni królewskiej z monarchą na czele, tworzyli niejako stowarzyszenie, które sami nazywali „College du Tabac.“

Członkowie jego byli nieodstępni towarzyszami Fryderyka-Wilhelma zarówno w Berlinie, jak i w Poczdamie lub w Wusterhausen, ulubionej miejscowości króla, gdzie urządzano czasami polowania.

Etykieta obcą była członkom kolegium fajczanego, wesołość tylko panowała tam niepodzielnie.

Gdy król wchodził, nikt nawet nie powstawał na jego przyjęcie. Czasami królowa zaszczycała kolegium swą obecnością, ale i wobec niej nie bardzo się żenowano.

W muzeum Hohenzollernów wisi na ścianie nad pułką z kuflami obraz przedstawiający jedną z owych scen poufałych: Fryderyk-Wilhelm i Zofia-Dorota siedzą naprzeciw siebie i piją

przy maleńkim stoliku, tworzącym ni-byśrodek pierścienia, utworzonego z palaczy, siedzących dookoła.

Inny obraz, w Charlottenburgu, przedstawia przyjęcie następcy tronu pruskiego do kolegium.

Król pali, dworanie jego palą, scena cała odbywa się wśród gęstych chmur dymu. Księżę, zaledwie szesnacie lat liczący, zbliża się krokiem bojaźliwym. Król-ojciec podaje mu fajkę, pierwszy minister ofiaruje mu kufel piwa a pod spodem napis „Dignus est intrare.“

Wieczorem zasiadano do wieczerzy, poczem znowu palono fajki, zapijając piwo; czasami urządzano partyę w karty lub kości, zawsze bez stawki. Fryderyk-Wilhelm był tak kiepskim graczem, iż nikt z nim grać nie chciał.

Pewnego razu monarcha zaproponował generałowi von Flause partyę po groszu punkt: generał odmówił:

— Za nic w świecie, Najjaśniejszy panie!.. Wasza królewska mość obecnie, gdy gramy o nic, rzuca kośćmi w partnerów wygrywających, cóżby to było dopiero, gdybyśmy grali o pieniądze!..

Ów generał von Flause był jedną z najwybitniejszych postaci w kolegium wraz z kolegami swymi Grumbkowem i starym księciem Leopoldem von Dessau.

Z pomiędzy ministrów największem uznaniem cieszyli się Blaspill i Clement, awanturnik węgierski, którego łaska monarsza wyniosła na pierwsze w kraju stanowisko.

Dalej szedł cały szereg najrozmaitszych osób, których zadaniem było zabawianie króla i jego przyjaciół.

W Wusterhausen dopuszczano do kompanii nauczyciela miejscowego, którego wyrażenia wolne, może nawet zbyt wolne, wzbogacały i tak już „pieprzny“ słownik członków kolegium.

W Poczdamie i w Berlinie, atleta Eckenburg, zapaśnik zawodowy, cieszył się uznaniem, którego mu zazdrościli najwyżsi nawet urzędnicy.

Największym atoli ulubieńcem monarchy był historyk Gundling, pełniący niejako obowiązki błazna królewskiego.

Była to chodząca encyklopedia pod ręczną Fryderyka-Wilhelma, ale bo też istotnie trudno było znaleźć jakąkolwiek gałąź nauki lub wiedzy ludz-

kiej, którejby Gundling nie znał wybornie.

Zawdzięczał to pamięci nadludzkiej i olbrzymiej inteligencji.

Przytem wszystkim humor nigdy go nie opuszczał, lecz był to humor szalony, skutkiem czego bezustannie popełniał najrozmaitsze niedorzeczności, które tylko jemu jednemu uchodziło bezkarnie.

Król zasypywał go najrozmaitszemi godnościami i urzędami wysokimi, nie tyle może, aby wynagrodzić istotne zalety tego bądź co bądź niezwykłego człowieka, ile by sprawić przykreść i upokorzyć wielkich panów, dygnitarzy i uczonych królestwa.

W ten więc sposób Gundling mianowany został wielkim szambelanem, wkrótce potem prezesem rady generalnej finansów, nareszcie prezesem akademii umiejętności.

Były to czeze tytuły, król bowiem nie trzymał dworu, a zatem wielki szambelan był co najmniej zbytecznym; finansami zarządzał król osobiście i nikogo nie pytał o radę, akademia zaś umiejętności istniała tylko dla formy, a członkowie jej mieli rozkaz, aby zgromadzali się jak najrzadziej.

Nie wiedząc w końcu, jaki dać nowy tytuł Gundlingowi, Fryderyk-Wilhelm mianował go wielkim mistrzem ceremonii, pod warunkiem, że będzie nosił kostium taki sam, jak jego poprzednik podczas koronacji Fryderyka I-go.

Berlińczycy trzymali się za boki od śmiechu, widząc człowieka z innej epoki, włóczącego się po ulicach i szynkach w stroju galowym, czerwonym, wyszywanym galonami, w peruce z długimi włosami, zwiniętymi w pukle niezliczone, w kapeluszu z długimi piórami strusiem.

Ulicznicy biegli za tą figurą pocieszoną, zazwyczaj zataczającą się po całej ulicy i wołali:

— He! he!.. błazen królewski!..

A szlachta i dygnitarze wzruszali pogardliwie ramionami i szeptali oglądając się na wszystkie strony:

— Oto jak nas traktują!..

Gundlingowi wszystko uchodziło bezkarnie, lecz nieraz narażonym był na rozmaite przykrości.

Pewien generał, na którego Gundling ułożył piosnkę ośmieszającą, kazał go zatrzymać ludziom na moście w Wusterhausen i uwiązawszy na po-

wrozach spuścić wolno na rzekę zamrzniętą.

Rozkaz spełniono, lecz wykonawcy jego, pijani tak samo, jak i ich ofiara, za prędko wypuścili sznur z ręki, tak, że Gundling rozbił sobą cienką powłokę lodową.

Król przypatrywał się tej scenie z okna swego pałacu i śmiał się do rozpuku.

Innym znów razem oficer jakiś znalazł Gundlinga pijanego pod ławą w szynku; zdjął zeń klucz szambelański i odesłał królowi.

Fryderyk-Wilhelm udał nadzwyczajne oburzenie, zagroził ulubieńcowi swemu procesem o obrazę majestatu, lecz wreszcie prześlągany skrucną Gundlinga, przebaczył mu winę. Ażeby zaś wypadek podobny drugi raz się nie powtórzył, ofiarował mu nowy klucz szambelański, mosiężny, pozłacany, długi na łokieć, i zawieszony go na szarfle niebieskiej na szyi szambelana, polecił mu nie rozstawać się nigdy z tą zaszczytną odznaką.

Wszystko atoli na świecie przemija: nadeszła chwila, w której Gundling przestał już bawić członków kolegium. Zaczął opowiadać o swych książkach,

o swych pracach... nikt mu nie oponował, ale też nikt go nie słuchał.

Wówczas Fryderykowi - Wilhelmowi przyszła myśl sprowadzenia do Berlina profesora Fassmana, sławnego ze swych dziwactw i uporu na punkcie naukowym.

Skutek został osiągnięty: przy pierwszym zaraz spotkaniu dwaj uczeni tak się pokłócili, iż omal sobie oczu nie wydrapali.

Kolegium zanosilo się od śmiechu.

Od owego dnia Fassman został stałym członkiem stowarzyszenia fajczanego, i dość było wśród rozmowy rzucić jakikolwiek temat naukowy, a wnet rozpoczynała się awantura pomiędzy uczonymi, która trwałaby Bóg wie jak długo, gdyby król jej nie przerwał.

Niestety, wesołe te posiedzenia prędko przeminęły. Gundling, strawiony alkoholem, umarł nagle pewnego wieczoru.

Śmierć jego wywarła przygnębiające wrażenie na całe kolegium. Nawet Fryderyk-Wilhelm, przywykły do widoku śmierci, posmutniał.

Wszyscy członkowie wraz z monarchą przywdziali żałobę po swym ulubieńcu.

Król kazał urządzić pogrzeb wspólny. Z Drezna sprowadzono dwudziestu błaznów króla saskiego, przybrano każdego z nich w krepę kilkanaście łokci długo.

Na cmentarzu wygłosił mowę Fassman, sławiąc znakomite prace Gundlinga, jego wiedzę i naukę.

Wkrótce przebrzmiała pamięć jego bez śladu.

Stanowisko Gundlinga zajął Jackel, dawniejszy dobosz, lecz i jego panowanie nie trwało długo.

Zanadto poufały względem monarchy, pewnego dnia ośmielił się do tego stopnia, iż idąc z Fryderykiem-Wilhelmem koło sadzawki, pechnął go tak silnie, że król wpadł niespodzianie do wody.

Uczynił to, jak się tłumaczył, aby wyleczyć monarchę z reumatyzmu.

Z łatwością wyobrazić sobie można humor Fryderyka-Wilhelma po wyjściu z tej kąpieli nieoczekiwanej.

A jednak król nie uniósł się wcale, lecz oświadczył spokojnie, że Jackel może być sądzony jedynie tylko przez członków kolegium fajczanego.

Zwołano natychmiast wszystkich; sąd utworzył się na prędko, a po wysłuchaniu skargi, wniesionej osobiście

przez króla, który żądał najwyższej kary na przestępcę, skazano go na śmierć.

Nieszczęśliwy rzuca się do nóg króla, błaga o łaskę.

Król zagryza usta od śmiechu, lecz nie daje się przeprosić.

Nawet na zwłokę parogodzinną nie zezwolił, ale kazał natychmiast przygotować wszystko do egzekucyi.

Za chwilę biedny Jackel został zaprowadzony z oczyma związanemi na plac, gdzie tracono przestępców.

Cały orszak złożony z członków kolegium na czele z monarchą, zatrzymał się przed pieńkiem, na którym nieszczęśliwemu kazano złożyć głowę.

— Kaciel.. pełń twą powinność!.. zawołał król.

Jackel zerwał się z miejsca; wkrótce jednak poczuł na swych ramionach rękę ciężką, obejmującą go niby kleszcze żelazne.

Upadł na kolana, a pomocnicy kata przytrzymali głowę jego za uszy.

— Dalej!.. — zawołał monarcha.

Broń fatalna spada ne szyję skazanego, Jackel wydał straszny okrzyk, a wszyscy wybuchnęli głośnym śmie-

chem... Kat zamiast miecza u żył dwu łokciowej kiełbasy.

Wesołość ogólna; jeden tylko Jackiel klęczy wciąż i nie bierze w niej udziału.

Podchodzą do niego, wstrząsają nim... ciało jego opada ciężko na ziemię... nadbiega doktor... trzeźwi go...

Daremnie.

Jackel umarł z przerażenia.

* * *

Fryderyk - Wilhelm i sam czasami padał ofiarą mistyfikacyi.

Pewnego dnia pierwszy minister Clement doniósł mu, że ulubieńcy królewscy von Grumbkow i von Dessau do spółki z panią Blaspił, uknuli spisek na jego życie, powodowani jako by namową księcia Eugeniusza sabbaudzkiego i ministra saskiego Flemminga.

Być może, iż Clementowi, który wicznie trudnił się intrygami różnego rodzaju, zależało na rozpuszczaniu podobnych pogłosek, przeliczył się jednak tym razem, nie wziął bowiem pod uwagę charakteru Fryderyka - Wilhelma, podejrzliwego do najwyższego stopnia.

Król udał w pierwszej chwili, że go wiadomość ta nie obchodzi; podczas kolacji atoli odezwał się nagle do pani Blaspił i zaczął ją badać.

Pani Blaspił nieprzygotowana na pytania najzupełniej nieoczekiwane, zaczęła się jąkać, bredzić, czem utwierdziła jeszcze bardziej monarchę w przekonaniu, że doniesienie Clementa jest prawdziwe.

Fryderyk-Wilhelm uniósł się gniewem, przyskoczył do pani Blaspił, spoliczkował ją i kazał wtrącić do więzienia.

Na drugi dzień jednak, zastanawiając się nad tą sprawą, postanowił przede wszystkim wyjaśnić rzecz całą u źródła; zamiast więc aresztować księcia Dessauskiego i Grumbkova, co już było postanowione, wezwał do siebie Clementa.

Jak go badał i co z niego wydobył, nie wiadomo do dnia dzisiejszego, to to tylko pewna, że sprawa wzięła natchmiast obrót nie bardzo pomyslny dla pierwszego ministra.

Clement został wygnany z Prus, a historia ta wywołała wielkie wrażenie nie tylko w Berlinie, lecz i w całej Europie.

Zajmowano się nią i na dworze paryskim, bo oto co pisze księżna palatyńska, bawiąca podówczas we Francji:

„Pogłoski o spisku uknutym na życie Fryderyka-Wilhelma — okazały się bezpodstawnymi.

„Clement przyznał się, iż fałszywie oskarżył kilka osób.

Pani Blaspił, żona jednego z ministrów, wplątana w tę sprawę i uwięziona, została wypuszczoną na wolność. Jakie jednak otrzyma ona wynagrodzenie za kilka policzków otrzymanych od króla w chwili jej aresztowania?.. Powiadają iż monarcha zaprosił ją uprzejmie do stołu, a następnie gdy zająknęła się i nie odpowiedziała na jego nagłe zapytanie, bił ją pięścią po twarzy.

„Trudno doprawdy uwierzyć, aby król zapomniał się do tego stopnia i dopuścił się czynu tak dalece niegodnego monarchy.“

List ten wielkie ma znaczenie dla historii, gdyż w dalszym ciągu tłumaczy przyczyny tego dziwnego i niezbyt przyzwoitego postępowania Fryderyka.

Oto co czytamy tam pomiędzy innymi:

„Na rachunek króla obiegają znów pogłoski nieprawdopodobne. Powiadają, że monarcha cierpi na ból głowy tak silny, iż czasami aż w szal popada. Nie chcę temu wierzyć, dopóki nie przekonam się dostatecznie. Gdyby to było prawdą, zmartwiłabym się bardzo, a to głównie z powodu królowej... jakież ta kobieta znośić musi cierpienia!..“

Przypuszczeniom tym trudno zaprzeczyć: Fryderyk-Wilhelm I-y musiał być chyba szalonym, inaczej nie można sobie wytłomaczyć dziwactw przezeń spełnianych.

Jakim sposobem jednak nie zapobieżono temu?.. dla czego zezwolono na coś podobnego?.. historia pruska uczy, iż na tronie nieraz zasiadali szaleńcy, a naród dowiadywał się o tem dopiero po ich śmierci. Fryderyk-Wilhelm IV-ty, zmarły w r. 1861, jest tego najlepszym dowodem.

Na dworze francuskim a właściwie w buduarze pani de Prie, gdzie była właściwa siedziba rządu najwyższego, nie zajmowano się wcale Fryderykiem-Wilhelmem, panowało tam bowiem prze-

konanie, iż szalony ten monarcha wkrótce zostanie pozbawiony władzy i zdetronizowany na rzecz któregośkolwiek z książąt pruskich.

Dzięki tej właśnie obojętności Fryderyk-Wilhelm porzucił sprawę Francji i opuścił księcia Bourbon, wziętego we dwa ognie przez armie angielską i hiszpańską.

Pomimo to jednak król pruski nie był wcale usposobiony nieprzyjaźnie względem księcia regenta, a nawet był czas, kiedy chciał armię swoją wysłać na pomoc Francji, pragnął jednak dowiedzieć się przedewszystkiem, co na tem zarobi?..

Pewnego razu — było to pod koniec roku 1725 — dowiedziawszy się, że ambasadorowie Francji i Anglii mają się zejść razem na obiedzie, przyszedł do jednego z nich najniespodziewaniej i zajął miejsce przy stole, poczem wyjął duży zwój papieru zapisanego własną jego ręką i odczytał ambasadorom.

Lemonter w dziele swem „Historja regencyi“ przytacza z pracy owej słowa następujące:

„Oświadczam się przeciwko cesarzowi niemieckiemu; podburzy on za to

na mnie sąsiadów mych wschodnich. Czy będę mógł liczyć w takim razie na pomoc jakąkolwiek?.. Anglia otoczona dokoła morzami, Francya zabezpieczona silnemi fortecami, po największej części naturalnemi, nie potrzebują obawiać się wtargnięcia nieprzyjaciół, gdy tymczasem mój kraj odsłonięty jest ze wszystkich stron, kto tylko zechce, może zajeżdżać jak do oberży i gospodarować dowolnie.

Przypuśćmy jednak, że zawarłem traktat: występuję więc do boju; po co? aby panowie holendrzy mogli drożej sprzedać herbatę, kawę, ser i porcelanę. Ci panowie jednak nie chcą dla mnie nic uczynić a żądają odemnie wszystkiego!.. Czyż to jest słusznem?.. Gdybym zawarł przymierze, czybyście panowie sami nie powiedzieli, że król pruski dał się wziąć na plewy?.. Jeżeli zabierzecie cesarzowi jego statki, jeśli zniszczycie cały jego handel ostendzki, czy będzie on choćby o cal jeden mniejszym cesarzem, niż jest obecnie. Nie chcę zawierać traktatu na ślepo; przede wszystkim niechaj się dowiem, jakie osiągnąć mogę korzyści. Anglia i Francya porozumiały się już pod tym względem, i ja także chcę należeć do

tego porozumienia. Wiem, że cesarstwo straci część swoich prowincyi. Które to będą prowincye? Komu się dostaną?..

A następnie jeszcze kilka kwestyi: gdzie są wojska? Kto dostarcza środków do prowadzenia wojny? Jak wielkie są te środki? Wszystko to trzeba wiedzieć dokładnie; jeśli mamy zaczynać, zaczynamy jak należy.

Po ukończeniu wojny zostanie zawarty pokój. Czy o mnie zapomną? Czy ja będę ostatnim? Czy siłą będę musiał upominać się o część swoją?*

Ostatecznie przymierze, o którym Fryderyk-Wilhelm tak szeroko się rozpisał, nie zostało zawarte, podobno dla tego, że żaden z ambasadorów wspomnianych nie był w stanie stanąć do walki z posłem cesarskim hr. Seckendorffem.

Walka ta polegała na wypaleniu olbrzymiej ilości tytoniu i wypiciu większej jeszcze piwa w kolegium fajczanem; tam bowiem kwestye te ostatecznie zostały rozstrzygnięte.

Hr. Seckendorff nienawidził fajki, wziął się jednak na sposób, wsadziwszy bowiem do ust cybuszek wydawał odgłos charakterystyczny wargami, jak

gdyby był najzapaleńszym amatorem tytoniu. Wśród mas dymu podstępu tego nie dostrzeżono.

Za to co do wychylania kufli piwa jeden po drugim szedł o lepsze z Fryderykiem-Wilhelmem, który nigdy pod tym względem nikomu wyprzedzić się nie dawał.

Przez wieczór hrabia potrafił wlać w siebie 40 do 50 kwart piwa, i wcale tego po nim znać nie było; humor tylko miał nieco lepszy a umysł tak jasny jakby na czczo.

Główna atoli siła jego polegała na niezwykłym spokoju i zimnej krwi.

Raz siedział pomiędzy Fryderykiem-Wilhelmem a pierwszym ministrem państwa Clementem.

W toku rozmowy wygłosił zdanie, które strasznie niepodobało się monarche; wnet wywiązała się sprzeczka bardzo zastrzona.

Seckendorff dowodził spokojnie, Fryderyk-Wilhelm gwałtownie.

Naraz król użył najwymowniejszego argumentu, jakim często się posiłkował, a mianowicie uderzył w twarz Seckendorffa.

Ale ambasadora niemieckiego taka drobnostka nie mogła wyprowadzić

z równowagi: odwraca się najspokojniej do swego sąsiada Clementa i wymierza mu tęgi policzek, dodając przytem z najzimniejszą krwią:

— Podaj dalej!..

I jak gdyby nigdy nic nie zaszło, zaczyna dalej rozmowę, na chwilę przerwana tym epizodem.

Ambasador francuski miał twarz za czułą na podobne eksperymenty, dla tego też zawarcie przymierza pomiędzy Francją a Prusami uległo zwłoce ośmioletniej.

* * *

Fryderyk-Wilhelm nie tylko był tyranem dla kraju swego; w domu, u siebie, dla swych najbliższych był on jeszcze straszniejszym.

Gdy powracał z kolegium fajczanego, krokiem ciężkim, z oczami zamglonemi, z przekleństwem na ustach, każdy chował się przed nim w najciemniejszy zakątek.

Z pomiędzy czternaściorga dzieci, których połowa była dziewcząt a połowa chłopców, najbardziej narażonymi byli na wybryki humoru ojcowskiego następca tronu Fryderyk i siostra jego

Wilhelmina, przyszła margrabina Beireuthu.

Synowi swemu zarzucał, że udaje fanfarona, że komponuje wiersze francuskie, że się zabawia filozofią.

Jedynym zaś błędem księżniczki było, zdaniem króla, zachęcanie brata do wytrwałości w pojęciach niezależnych, zarówno w kwestyach polityki jak i religii.

Zarzut ten zresztą był najzupełniej uzasadniony, gdyż brat i siostra, to jest późniejszy Fryderyk Wielki i margrabina Beireuthu jednakowe mieli gustu i zasady.

Chcąc ich ugiąć Fryderyk Wilhelm używał najstraszniejszych sposobów; przedewszystkiem morzył ich głodem.

„Król — pisze margrabina w swych pamiętnikach — sam spełniał przy stole obowiązki krajczego. Podawał potrawy wszystkim, o nikim nie zapominał, tylko ja i brat mój Fryderyk bywaliśmy naumyślnie pomijani.

„Jeżeli na półmisku pozostała jaka potrawa, pluł w nią, ażebyśmy jej spożyć nie mogli.

„Żywiliśmy się przeważnie kawą mleczną i jagodami, skutkiem czego na-

bawiłam się na całe życie choroby żołądkowej.“

Po odjeździe Fryderyka, księżniczka Wilhelmina jeszcze bardziej cierpiała; odjęto jej nawet i kawę, i głodzono ją wraz z jedyną jej panną honorową, niejaką von Sausfeld, do tego stopnia, że gotowały w swoim pokoiku wodę, w której po dosypaniu nieco soli rozmięczały skórki chleba zeschłego, wyszukanego gdzieś w kątach kuchni lub nabytego za parę groszy na targu.

Księżniczka Wilhelmina od lat najmłodszych padała ofiarą gwałtownego usposobienia Fryderyka-Wilhelma.

Pewnego dnia król kazał jej odmówić dziesięcioro przykazań. Młoda dziewczeczka przestraszona zająknęła się i pomyliła. Wtedy ojciec niezważając na wiek jej młody, zaczął ją okładać kułakami tak strasznie, iż cała posiniaczona zaledwie zdołała umknąć z życiem z pod jego pięści.

Było to w chwili, gdy mała Wilhelmina przystąpić miała do pierwszej komunii. Rzecz naturalna, iż ceremonia została odroczone i dopiero w kilka tygodni później na usilne prośby żony swojej, król pozwolił Wilhelminie przystąpić do komunii.

W r. 1729 — zły humor monarchy najbardziej dał się wszystkim we znaki. Fryderyk-Wilhelm chorował podówczas na podagrę; nie mógł chodzić, wożono go więc w małym wózku urządzonym na kształt fotelu.

Obowiązkiem żony i dzieci było towarzyszyć mu wszędzie. W przystępach złęgo humoru, jeśli byli bilzko, bił ich laską, jeśli zaś trzymali się w pewnej odległości, rzucał ją za nimi.

Księżniczka Wilhelmina uciekła raz w zimie przed gniewem ojca aż na podwórze; zaziębiła się i dostała febrę gwałtownej. Na domiar złęgo, król, złagodniawszy nieco, postanowił leczyć ją winem reńskim i zmusił ją do wypicia całej butelki tego napoju.

Wyniki tej kuracyi bardzo były smutne; księżniczka przez dwa dni mocowała się ze śmiercią i ostatecznie zapadła na ospę.

Gdy wróciła do zdrowia, odwiedził ją brat i opowiedział, że przed kilku dniami ojciec chwycił go za włosy i obił niemilosiernie, poczem zaciągnął do okna i pochwyciwszy sznur od franki, owinał mu koło szyi, chcąc go udusić. Na krzyk następcy tronu zbiegła się

służba i wyrwała ofiarę z rąk ojca rozwścieczonego.

Gdyby pomoc spóźniła się chwilę Fryderyk byłby już nie żył.

Wilhelmina nie zdążyła jeszcze ochłonać z wrażenia, jakie wywarło na niej to opowiadanie, gdy w tem wchodzi lokaj z oznajmieniem, iż ojciec wzywa ją do siebie.

Ponieważ nie widziała go od czasu wyzdrowienia, przypuszczała więc, iż ojciec chce jej powinszować tego szczęśliwego uniknięcia śmierci, pośpieszyła więc co tchu i wszedłszy do pokoju monarchy, rzuciła się do ręki ojcowskiej, chcąc ją ucałować.

Jakież atoli było jej zdziwienie, gdy ojciec przywitał ją gradem obelg.

Oczy jego błyszczały wściekłością, z ust piana się toczyła.

— Łajdaczko!..—zawołał—jak śmiesz pokazywać mi się na oczy!..

I pochwycił ją za długie, piękne włosy jedną ręką, a drugą bił kulakiem po głowie, po twarzy.

Jedno z potężnych tych uderzeń dostało się Wilhelminie w skroń; biedna księżniczka zakrwawiona cała, straciła przytomność, zachwiała się, upadła i byłaby głową uderzyła o róg

krzesła, lecz na szczęście do pokoju wpadła w tej chwili królowa i córkę swą przytrzymała, pochwyciwszy ją za włosy,

* * *

Z biegiem lat cierpienia Fryderyka-Wilhelma coraz bardziej się zwiększały. Rzecz naturalna, iż na humor jego wywierało to skutek najfatalniejszy.

Początkowo złośliwy, pod koniec życia stał się nieznosnym.

Podagra dniami całemi trzymała go w łóżku; pomimo wszelkich wysiłków lekarzy nie mógł się ani na krok ruszyć.

Wkrótce potem nogi zaczęły mu puchnąć; było to pod koniec r. 1739.

Samotny, opuszczony, zestarzały przedwcześnie, przeczuwając blizki koniec swego żywota, zajął się pracą ręczną. Zajęcia te rozrywały umysł jego, nie męcząc ciała.

Zamknawszy się w najodleglejszym pokoju pałacu królewskiego, robił skrzynki, kasetki, których kilka egzemplarzy znajduje się w muzeum Hohenzollernów.

Obok nich stoi model tronu, sporzą-

dzony przez monarchę w chwilach, gdy jeszcze był zdrow zupełnie.

Drugi taki sam model, przeznaczony pierwotnie dla Piotra Wielkiego, znajduje się w muzeum w Monbijou.

Później napadła go mania malowania obrazów.

Malarz Adelsing przychodził codziennie do pałacu i dawał królowi rady i wskazówki. Rozcierał farby, rysował węglem grenadyerów, służących lub wieśniaków, a szkice te Fryderyk Wilhelm powlekał farbami.

Czasami królowi nie udawała się ta zabawka; biada wówczas Adelsingowi.

Paleta z farbami, laska do podtrzymywania ręki, farby, słoiki, ramy i sztalugi, wszystko to waliło się na jego głowę, kierowane silną ręką Fryderyka-Wilhelma.

A przytem co za dobór słów, jakie przekleństwa dosadne, jak za najlepszych czasów w kolegium fajczanem.

W Poczdamie można widzieć kilka próbek owych rysunków kolorowanych ręką króla; wyglądają one zupełnie jak owe obrazy jarmarczne, sprzedawane po talarze łokieć wraz z ramami.

Na każdym z nich widnieje u dołu napis wyraźny: „Fridericus Wilhelmus in tormentis pinxit“ (Fryderyk-Wilhelm malował wśród cierpień).

Królowi zdawało się, iż jest co najmniej drugim Rafaelem. Pewnego dnia kazał przywołać znanego handlarza obrazów z Berlina i zaproponował mu nabycie wszystkich dzieł swoich malarskich po sto talarów za sztukę. Propozycja zrobiona była w taki sposób, iż odmówić jej było niepodobna. Handlarz skrzywił się, jakby mu kazano wypić kwartę octu, wnet jednak spostrzegł się, iż lepiej będzie załatwić ten interes z uśmiechem na ustach.

Wyjął zatem pieniądze i zapłacił za wszystkie obrazy, chociaż suma wyłożona stanowiła znaczną część jego majątku. Przyszedłszy do domu, wystawił kilka obrazów w oknie sklepu z widocznym napisem, objaśniającym pochodzenie tych utworów.

Przed oknem gromadziły się tłumy, szydząc z nieudolnej pracy króla-malarza; kilka osób nabyło parę sztuk, płacąc stosunkowo wysoką cenę, jako za rzecz rzadką i pamiątkową.

Wkrótce po całym Berlinie zaczęto rozprawiać o bazgraninach Fryderyka-

Wilhelma. Król dowiedział się o tem, zawołał handlarza i zażądał od niego aby usunął obrazy z wystawy sklepowej i żeby nikomu nie mówił, kto jest ich autorem.

— Niech uwielbiają dzieło; twórca jego jest aż nadto skromny, aby miał się niem chlępić... — dowodził Fryderyk-Wilhelm.

Handlarz atoli nie dał się przekonać, i twierdził, że król, sprzedając mu obrazy, wystawił je na handel, nie może zatem zabronić mu reklamowania towaru.

— A więc je odkupię wszystkie.

— Dobrze, Najjaśniezy Panie — ale ja stracić nie mogę. Te obrazy mają dla mnie wartość potrójnie wyższą, aniżeli suma, jaką za nie zapłaciłem. Waszej królewskiej mości wyjątkowo sprzedam je po dwieście talarów za sztukę.

Daremnie król wymyślał, na nic się nie zdały przekleństwa, nawet rzucaenie laską nic nie pomogło; handlarz był nieugięty. Król ostatecznie zapłacił za obrazy sumę żadaną.

Przez kilka dni żalił się na tę stratę.

— O!.. źle!.. źle ze mną!.. bardzo źle!.. Starzeje się widocznie!.. Dawniej niktby

nie potrafił oszukiwać mnie tak haniebnie.

Istotnie, król starzał bardzo prędko i z dniem każdym coraz bardziej tracił zdrowie.

Wkrótce wszelka nadzieja uleczenia zniknęła najzupełniej; lekarze dworscy stracili już wiarę w ocalenie życia królewskiego.

Monarcha czuł, że lada chwilę przyjdzie mu rozstać się z życiem; ta myśl doprowadzała go do szaleństwa.

Jeżeli otworzył usta, to tylko po to, by wypowiedzieć jakie przekleństwo.

Dnia 31-go maja król stracił przytomność. Był to początek końca.

Przed śmiercią miał jednak jeszcze chwilę świadomości, podczas której, wolny od cierpień, dał dowód spokoju i zimnej krwi, dziwnie nie licującej ze wszystkimi jego dawniejszymi wybrykami.

Przywołał lekarza i zażądał ostatecznego i stanowczego oświadczenia, jak długo jeszcze żyć będzie.

— Pół godziny, Najjaśniejszy Panie!.. odrzekł doktor.

Kazał sobie podać lustro i przegładał się w niem długo.

— Zmieniłem się bardzo — rzekł, za chwilę jeszcze gorzej będę wyglądał.

I spokojnie oczekiwał śmierci, pytając co chwilę doktora o stan pulsu.

— Słabnie... już go nie czuć... przestał bić!..

W tej chwili zagrała jeszcze raz krew stara w Fryderyku Wilhelmie.

— Jakto?.. przestał bić?.. To niemożliwe?.. W takim razie nie mógłbym poruszać palcami... ot tak... ot tak...

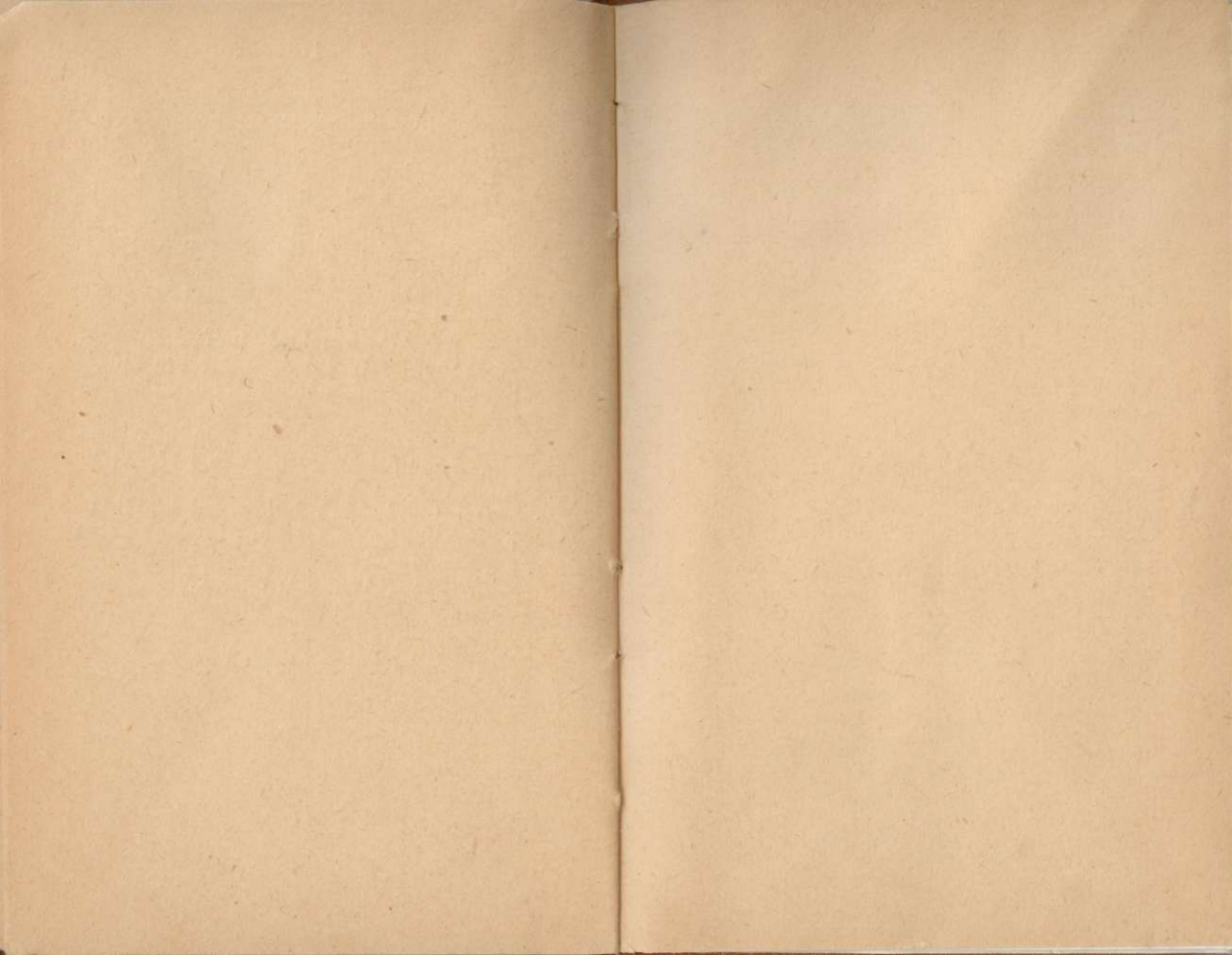
I chcąc poprzeć czynem swe słowa, podniósł w górę rękę i złożył ją kilka razy w kulak.

Ostatni to już był wysiłek. Ręka opadła ciężko na koldrę, głowa stoczyła się z poduszki.

Fryderyk Wilhelm umarł!..

Koniec części I-ej.





5074970/30113
9. STERP. 1982

240,-





*Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie*



010-025080